ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY



REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

N° 27

WARSZAWA
DNIA 6 LIPCA 1913 R.

Democratiser en haute!

Płomienne słowa Mirabeau „Democratiser en haute,“ sprawiły, iż z początkiem XIX wieku otworzono na ścieżaj, zazdrośnie strzeżone w rezydencjach królów i cesarzy skarby sztuki.

W bogatych społeczeństwach Zachodu korzystają mieszkańcy z całą swobodą z rozkoszowania się pięknem tworów sztuki skrzętnie przez wieki zbieranych, by dziś wzruszać, dostojnością kształcić i podnosić wartości życia, co raz to nowszemi skojarzeniami kształtów i barw.

Równocześnie ze zbiorami muzealnemi otworzyli władcy i możni tego świata, sale teatralne, przylegające do pałaców i część ich integralną stanowiące.

Sztuka poczęta w kościołach i pałacach Renesansu podnosić zaczyna i uszlachetniać ducha demokracji, podobnie jak to było w Helladzie, w której życie płynęło ujęte w rytmy dyonizyjskie.

Malarstwo rzeźba i dramat stają się bogactwem kulturalnem narodu oddziaływając nań i łącząc się bezpośrednio z życiem.

W epoce, która nadchodzi w życiu artystycznem, czuć podmuchy gwałtownej siły, która rozsadza ramy malarzowi, każąc mu zdobić barwą całe wnętrza architektoniczne a nie cząstki ściany, tworzyć kompozycje rzeźbiarskie, pomyślane dla rozległych placów i gmachów, by działały na tłumy i żyły pełną piersią uczuć i wzruszeń.

Dramatowi zaciasno dziś w kameralnej sali książęcej rezydencji, próbuje on *spełniać się*, wśród wypełnionego morzem głów ludzkich, amfiteatru cyrku, teatrów pod gołem niebem, wśród cienistych aleji parków lub górskich kotlin.

Sztuka teatralna staje się znowu potężnym ogniwem łączącym zaświaty poezji z falą współczesnego życia.

I już u nas zaczynają odzywać się echa z pod Bayreutu, Oberammergau, Orange, Wiedikonu. Wołania coraz głośniejsze o zerwanie pęt z burżuazyjną sceną, utrzymywaną repertuarem sztuki dla sytych, sztuki przynoszącej odpowiedni zarobek przedsiębiorstwom teatralnym, utrzymującym się zręcznem lawirowaniem po fali zwyżek teatralnej i autorskiej giełdy.

W myśli powstania teatru ludowego w Warszawie, która, posiada teatry dla ludzi zamożnych a nędzne surogaty sztuki, dla setek tysięcy biednych, łaknących słowa poezji widzów, tkwi nowa pokrzepiająca myśl, odrodzenia serc skarlałych w atmosferze ciemnoty i nieświadomości zrodzonych.

Prawdziwy talent i prawdziwa poezja zawarta w arcydziełach rodzimych i obcych, dramatu i komedji, padną, niby grom na serca słuchaczy i ukształcą je w duchu Wieszczów, jedynych nauczycieli narodu.

Powstanie teatru ludowego w Warszawie, o uczciwych zamiarach artystycznych i społecznych będzie jedną z jaśniejszych chwil w życiu tego miasta, w którego murach pleni się i krzewi bandytyzm.

Otwarcie podwoji wzorowego teatru ludowego, w którego murach odezwały by się przedziwne myśli Słowackiego, Wyspiańskiego, Szekspira, Szyllera i Moljera, dostojnie, z prawdziwym pietyzmem odtwarzane, będzie czynem społecznym i narodowym pierwszorzędnej wagi.

Marjan Dienstl.

Dola i niedola polskiego poety.

Ludzi piszących wiersze w Polsce jest spora liczba. Ludzi piszących *poezje* — jest znacznie mniej. Ludzi czytających poezje — niema prawie wcale.

W Polsce, każda panienka uważa obecnie za słuszne pisywać wierszyki o „rozbitem serduszku" albo „słowiku", każdy zakochany uczniak „ubiera w rymy" swe „czarne myśli" o „niewdzięcznej", która go pokochać nie chciała czy nie chce, a nawet i niejeden staruszek kołysząc wnuczęta, rozrzewnia się czasem poetycznie na temat „starych, dobrych czasów".

Byłoby to jeszcze do zniesienia, gdyby ci „poeci" zadawalniali się już samym procesem pisania takich wierszy—oni zaś, za wszelką cenę starają się o przekazanie ich potomności. Te starania wyrażają się w postaci długiego szeregu tomików, „zbiorków" i „wiązanek" zalewających wprost z każdą wiosną cierpliwe półki księgarskie.

Tak zwana „pierwsza serja" stała się niemal przysłowiowa w Polsce. Gorzej jeszcze, gdy po tej „pierwszej serji" następuje serja druga, trzecia i dziesiąta, nieraz, gdy taki „poeta" pocznie marzyć nagle o „nieśmiertelności". Najgorzej jednak, gdy istotnie uda mu się dzięki jakimś bliżej mi nieznanym machinacjom zdobyć sobie szeroką popularność i uznanie

To co mówię nie jest gołosłowne. W Polsce mamy dziś do zanotowania kilku grafomanów, którzy cieszą się zarówno u ogółu jak i u t. zw. „urzędowej" krytyki opinją wybitnych poetów. Ci, których istotnie obchodzi poezja polska znają ich nazwiska, uważam więc za zbyteczne wymieniać je na tem miejscu.

Zaledwie kilku istotnych i szczerych poetów, dzięki niezrozumiałym dla mnie a szczęśliwym dla nich okolicznościom zdobyło sobie w Polsce mir, uznanie i pozorne zrozumienie.

Jak już zaznaczyłem poetów w Polsce jest bardzo dużo. Jak jednych tak i drugich ogół polski nie czytuje, nie zna, i wcale go los ich nie obchodzi.

Bardzo słusznie podkreślił Kazimierz Tetmajer w jednym z ostatnich numerów „Kurjera Warszawskiego", że wygłaszane często komunały na temat „rozpoetyzowanej Polski", są conajmniej śmieszne.

Bo istotnie, czyż jest kraj, w którym by mniej czytano poezje, niż w Polsce? Czy zdarzyło się kiedyś komuś ujrzeć w ręku przeciętnego sobie pana X czy Z, urzędnika banku czy adwokata, lekarza czy inżyniera z książką współczesnego poety? Przecież taki pan, gdyby nawet trzymał w ręku przypadkowo podobną książkę, byłby srodze zażenowany, że zastano go na trawieniu czasu tak bezużytecznie i byłby przekonany, że uwłuczyło to jego godności i powadze.

Inaczej rzecz się ma z książkami poetów uznanych, jak Mickiewicz albo Krasiński. To leży nawet w zakresie dobrego tonu, aby stół salonu lub gabinetu takiego pana doktora, inżyniera, adwokata, uginał się pod ciężarem wspaniale i bogato oprawnych albumowych wydawnictw „Pana Tadeusza" czy „Nieboskiej". których zresztą nikt, nigdy nie czyta.

Ale poeta współczesny? Może jeszcze w dodatku jakiś wcale nieznany, którego nazwiska nie spotkało się nawet nigdy na szpaltach „Tygodnika Ilustrowanego", lub „Świata".

— Niech sobie żona czyta takie rzeczy, ma czas—powiada taki pan—i kwestja poezji w Polsce jest już rozwiązana.

Kobiety istotnie okazują więcej uwagi dla rymowanego słowa w Polsce niż mężczyzni. Jakie są tego przyczyny dociec trudno. Może sprzyja temu większa ilość wolnego czasu, jaki zbywa przeciętnej kobiecie pomiędzy wizytą u krawcowej a widowiskiem teatralnem. A może istotnie dusza kobiety zdradza większe ciążenie ku pięknu, wrażliwsza jest na wszelki przejaw pierwiastka idealnego, niż dusza mężczyzny ciężka i rubaszna, pełzająca na czworakach, pełna lęku wobec każdego oderwania się od ziemi, które wytrąca ją z równowagi codziennej, tej miłej, z takim trudem zdobytej, równowagi.

Taki stan rzeczy wpłynął na to, że w Polsce o powodzeniu danego poety stanowi kobieta.

Ale kobieta jest tylko kobietą. Jej dusza posiada zaledwie kilka strun, przyznajmy nawet, o dość wysokim napięciu, strun, które czułe na każde uderzenie mogą nieraz wydawać rozkoszny dla grającego oddźwięk. Ale tych strun dźwięczących jest tylko kilka — reszta milczy, albo oddzwania głucho.

Najczulszą i najdźwięczniejszą struną duszy kobiecej jest erotyzm. Dlatego też, kto potrafił mocno w strunę tę uderzyć, zdobył zawsze należyty oddźwięk, wyrażony jako uznanie i popularność.

Stał się nawet przysłowiowym w Polsce typ „buduarowego poety", typ, który jest właśnie wykwitem tego, że o poezji stanowią kobiety. Jest to typ bardzo popularny w Polsce, kto bowiem nie zna takiego pana w loczkach, pełnego giestów szerokich, rozprawiającego bardzo płynnie i górnolotnie o każdej rzeczy, mającego zawsze na zawołanie rękopisy swoich ostatnich „erotyków"—takiego benjaminka towarzystwa, pieszczonego przez kobiety, które go sobie z rąk do rąk wyrywają.

Już to samo mówi wyraźnie, że w Polsce stosunek ogółu do poety jest bardzo lekceważący. U nas poeta traktowany jest jako błazen, cyrkowiec, skoczek, słowem jako ktoś, kogo na serjo się nie bierze.

Słowo „poeta" utożsamia się zazwyczaj ze słowami „próżniak", „ptak niebieski", „darmozjad" etc. Poeta jako taki, nie ma swego jasno określonego stanowiska w hierarchji społecznej. Być poetą—i tylko poetą—to znaczy być wyrzuconym poza nawias społeczeństwa.

Pomijam tu już nawet sprawę materjalnego bytu poety, któremu przy najbardziej sprzyjających warunkach społeczeństwo wyżywić się z poezji nie da, zmuszając go zawsze do pobocznej pracy zarobkowej.

W Polsce na poezję nie patrzy się poważnie. Cóż już mówić o szerokich masach, gdy rzekoma głowa narodu, prasa, stojąca u steru wszystkich spraw, grzech ten stale popełnia.

Pisma codzienne poezji prawie wcale nie drukują. Tygodniki zaś i miesięczniki patrzą na wiersz jako na bardzo wygodny materjał do wypełnienia luk w tekście, gdy zabraknie np. w ostatniej chwili artykułu lub kroniki.

Recenzje o książkach poetów piszą przeważnie ludzie ci sami, którzy piszą o nowym wynalazku w zakresie mleczarstwa lub kinematografu, ludzie bez najmniejszej kultury artystycznej, t. zw. literaci „do wszystkiego".

Nie jest to wcale przesada. Tak jest naprawdę i łatwo się o tem przekona każdy, kto się bliżej z robotą redakcyjną zetknie.

Pism poświęconych poezji wyłącznie w Polsce niema wcale. Mamy kilka pism literackich, ale są to raczej *lamusy*, przepełnione staremi rupieciami i nową tandetą. Był czas, kiedy się dobrze w Polssce poetom działo, a był to czas krakowskiego „Życia" i Miriamowskiej „Chimery".

Dziś, poeci nasi nie mają żadnego organu, świstka bodaj, w którym by mieli możność sprawy swoje, wyłącznie swoje, powiedziałbym sprawy *cechowe* poruszać, wypowiadać się szczerze i bez przymusu. Poeci nasi nie mają organu, w którymby mogli poezje, odbiegające w dziedzinę poszukiwań twórczych zamieszczać. Wszelkich bowiem „nowych prądów" boi się jak djabeł wody święconej przeciętne czasopismo polskie, i woli zawsze jakiś „nieszkodliwy" poprawny a banalny wiersz zamieścić, niż coś, co wybiega po za linję utartych pojęć i przyzwyczajeń.

Na Zachodzie, a choćby tylko w jednym Paryżu, wychodzi kilkanaście pism i pisemek poświęconych wyłącznie sprawom poezji.

Często pisemka takie zwalczają się nawzajem, wiodą gorące spory — to wszystko jednak świadczy o wzmożonym życiu poetyckiem o zainteresowaniu z jakim się do tych spraw odnosi—i wytwarza jednocześnie t. zw. *atmosferę artystyczną*, która jest tak konieczna dla każdego artysty, jak koniecznem jest dobre powietrze dla prawidłowego oddechu.

Z tej atmosfery wyławiają się zwykle nowe kierunki w sztuce, czasem nawet dzieła wiekopomne, w tej atmosferze znajdują impuls do wzmożonej pracy twórczej wszyscy artyści.

Pomijam tu już inne, nad wyraz udogodnione warunki pracy nad własnym talentem, jako to bogate muzea i księgozbiory, do których dostęp jest bardzo łatwy wszędzie na Zachodzie.

Tej właśnie atmosfery wysoce kulturalnej, tej atmosfery szczerej i wytężonej pracy twórczej — w Polsce niema wcale.

Z konieczności muszą jej szukać poeci polscy u obcych, najczęściej w Paryżu. Tak mało jednak poetów posiada możność wyjazdu. Brak stypendjów odpowiednich, brak jakiejkolwiek pomocy ze strony społeczeństwa — stanowi tu poważną przeszkodę. Muszą więc pozostawać w kraju, gdzie brak środków nie pozwala im na sprawienie potrzebnych książek a korzystanie z tanich czytelni nie daje pożądanych rezultatów, gdyż czytelnie takie składają się przeważnie z setek tomów rozmaitej tandety beletrystycznej.

A w takich warunkach, gdy Szekspir albo Dante, nie mówiąc już o innych, wypadkowo tylko może się dostać do ręki, jeśli się nie ma za co nabyć go w księgarni, w takich warunkach, największy nawet talent wyjałowieć musi i szukać taniego uznania u kurjerkowej publiczności. „Genjuszów kawiarnianych" mamy w Polsce aż nadto. Są to wszystko smutne skutki zupełnej obojętności, jaką otacza społeczeństwo polskie swoich „śpiewaków".

Czas, najwyższy czas, ażeby sami poeci pomyśleli o sobie.

Czas, aby zakładali czasopisma niezależne, sprawom kunsztu poetyckiego poświęcone; czas, aby zakładali czytelnie i bibljoteki w arcydzieła ogólno-ludzkiej twórczości zaopatrzone, gdzieby się mogli przedewszystkiem *kształcić*; czas, aby wreszcie *sami* pojęli i określili swój stosunek do sztuki społeczeństwa, który musi być szczery, poważny i pełen godności; czas, aby się jęli pracy nad własnymi talentami, ujmując je w świadome i mocne formy; czas, by zaczęli studjować język polski, którego wcale nie znają, bo ten używany przez nich składa się z wytartych liczmanów neomodernistycznej poezji i nic go z żywym źródłem mowy Kochanowskich i Pasków nie wiąże.

Czas wreszcie, by dowiedli, że poezja nie jest zbytkiem dla Polski, lecz koniecznością, jej wewnętrzną, potrzebą, której pominąć nie sposób.

Czas wreszcie i na to, by Naród zrozumiał, że najwyższym wyrazem jego życia duchowego—jest *Pieśń!*

Xawery Glinka.



Wystawa dawnej ceramiki polskiej.

W starej, patrycjuszowskiej kamienicy Baryczków na Starem mieście, otwarły się znowu podwoje, ażeby tym wszystkim, dla których przeszłość nasza nie jest pustym dźwiękiem, ale stanowi niejako arkę przymierza między dawnemi a nowemi czasy, uprzytomnić w porozstawianych w pięknych świetlicach gablotkach, z wazonami, puharami i pełnemi wdzięku cackami z porcelany, bądź co bądź bardzo znamienny rys dawnego życia i dawnej kultury polskiej. Jak zeszłoroczna wystawa minjatur portretowych, tak i urządzona i otwarta obecnie staraniem warszawskiego Towarzystwa Opieki nad zabytkami przeszłości „Wystawy dawnej ceramiki i szkła polskiego" w kamienicy Baryczków jest przedewszystkiem uznania godnym czynem społecznym o niepośledniej doniosłości dla historji naszej kultury, czynem, który z jednej strony wskazuje, że przecież ta dawna kultura nasza nie była tak ubogą jakby się na pozór zdawać mogło, a z drugiej strony daje nam do ręki obfity bogaty materjał historyczny, który pozwoli tę ceramikę dokładnie poznać i zbadać, ustalić genetycznie związek przyczynowy i wzajemnego oddziaływania na siebie stylów różnych epok z tych nagromadzonych, pięknych dzieł sztuki i pamiątek wysnuć odpowiednie wnioski i wskazania na przyszłość. Bo wystarczy chociażby tylko raz pobieżnie obejrzeć tę wystawę, ażeby przekonać się, że są tu rzeczy piękne o wybitnych w swoim rodzaju artyzmie.

I mówią nam one dzisiaj o szczytnych, wysiłkach stworzenia przemysłu polskiego i narodowej sztuki.

Jak bowiem cała świadomie narodowa sztuka polska wywodzi się dopiero z epoki Stanisława Augusta, tak też i rodowodu ceramiki polskiej szukać należy w tej właśnie Stanisławowskiej epoce. Lecz nie jako sztuka powstała ceramika, lecz jako przemysł wynikający z istotnego zapotrzebowania życia. Zamiast powszechnie dawniej używanych kruszców i metalów, poczęły w początkach XVIII-go wieku wchodzić coraz więcej w użycie fajansy i porcelany, do Polski sprowadzane początkowo z zagranicy, przeważnie z fabryki w Sevres pod Paryżem i Meissen w Saksonji. Wreszcie król Stanisław August, chcąc rozbudzić przemysł krajowy, zwłaszcza przemysł o tak wybitnych cechach artyzmu i piękna, sam fabrykę fajansów założył na gruntach Belwederu, naprzeciw dzisiejszego pałacu. Wyroby tej fabryki na chińskich, japońskich i holenderskich oparte wzorach, podobnie jak i ówczesne francuskie i saskie, w kształcie i ornamencie noszą piętno stylu rokoko, jak zresztą i do dziś dnia w sztuce europejskiej pomimo pewnych różnic lokalnych istnieje wzajemne oddziaływanie, przyczem zawsze na czoło wysuwa się znamię czasu i mody. Niedługo co prawda istniała fabryka belwederska, lecz wyroby jej, bardzo piękne, jakkolwiek nietrwałe, są dla charakteru stylu dawnej ceramiki polskiej najbardziej znamienne, i liczne też zrodziły naśladownictwa. Oto za przykładem Belwederu powstała niebawem prywatna fabryka fajansów Wolffa w Warszawie na gruntach Bielińskich, a prawie równocześnie z królewską, zależnie lub niezależnie od niej, fabryki różnych magnatów polskich, jak Radziwiłłów w Białej, Ogińskich w Telechanach, Jezierskich w Grębenicach, fabryka porcelany, założona przez Czartoryskich w Korcu, oraz kilka innych pomniejszych, których wyroby mają cechy stylu tak znamiennego dla epoki Stanisława Augusta.

Z biegem czasu fabryki te upadały, na ich miejsce powstawały inne, które też już inne, późniejsze posiadają znamiona stylu. Zamiast fabjansów weszła więcej w użycie porcelana, której fabryki, oprócz utrzymującej się Koreckiej, do pewnego rozkwitu doszły w Tomaszowie i Baranówce. Styl wyrobów tych fabryk, znacznie uproszczony nosi już wszelkie znamiona empire'u. I serwisy te, talerze filiżanki, wazony, figury i figurynki, posiadają wybitną wartość artystyczną, są piękne i pełne wdzięku, a tego wyroby późniejszych w okresie po 1830 r. już nie posiadają. Przytem rzecz jedna bardzo znamienna. O ile te dawne fajanse, i porcelany w stylu rokoko i empire są mi prawdziwemi cackami artystyczne to tego o późniejszych i współczesnych wyrobach, w których próbowano zastosować motywy ludowe i wzory secesyjne, powiedzieć już tego nie można. Widocznie styl antique i to drobiazgowe wykwintne wykończenie szczegółów, jakie spotykamy w sztuce stosowanej chińskiej i japońskiej jest dla wyrobów porcelanowych najbardziej odpowiednie.

Oprócz fajansów i porcelany spotykamy na tej wystawie także wspaniałą i bardzo ciekawą kolekcję szkła polskiego, w szczególności kolekcję puharów, na których dawne a tak bardzo charakterystyczne napisy, przywodzą nam na pamięć dawny animusz rycerski i gościnność przodków.

Wydany starannie i bogato ilustrowany katalog tej wystawy stanie się dla przyszłego historyka ceramiki polskiej wprost niezbędnym podręcznikiem a wartość jego jest tem większą, że obok opisu i scharakteryzowania przedmiotów, zebrane są i przedstawione wszystkie znaki fabryczne porcelany polskiej, które dotychczas niebyły skatalogowane.

Feliks Lubierzyński.



DAWNA CERAMIKA POLSKA.

ECHA... z MILANÓWKA.



Znalazłem się, teraz pomiędzy młotem a kowadłem, bo przecież, pożegnałem się już dość dawno z czytelnikami, obiecując im i sobie, nie nudzić ich na tem miejscu, żadnemi podczas wakacji poważnemi sprawami, nie odwracać ich uwagi od pól zielonych i lasów szumiących, nasuwając im natomiast przed oczy jakieś tam nudne statystyczne cyfry, lub odkrywając nowe społeczne bolączki. — Tymczasem chłopak z drukarni przychodzi ciągle po feljeton a na biurku leżą listy, dopominające się o odpowiedni elaborat. Słowo się rzekło, jednak — kobyła u płota, nie mogę więc wam zaprzątać głowy miejskiemi sprawami, bo wszyscy przecież siedzicie „extra muros" albo, przynajmniej choć za takich uchodzić chcecie.

Należy to przecież bowiem już obecnie do mody, by koniecznie wyjeżdżać gdzieś na letniska a moda największym przecież, jak wiadomo, jest tyranem, który żadnych konstytucji nie udziela, jeno despotycznie zawsze od najdawniejszych rządzi czasów i nie to więc dobre co dobre, ale to, co „le dernier cri", mody stanowi.

Urządził się zresztą już teraz każdy warszawiak odpowiednio na letni sezon, zbywszy z głowy rodzinne penaty i piernaty przeważnie do Konstancina, czy innego Skolimowa, razem z magnifiką i teściową—i pędzi sobie szczęśliwy żywot słomianego wdowca, ogrzewając się tymczasem przy obcem ognisku, podczas gdy jego najbliższa rodzina — używa lata, marznąc tymczasem, jak w październiku, w oczekiwaniu prawdziwie ciepłej pory.

Ale że kalendarz na czerwiec pokazuje, dzieciaki biegają więc boso po piasku a pani buja się w hamaku, aby używać drogo zapłaconej wilegjatury, odżywiając się dostarczanymi z Warszawy produktami, gdyż na letnisku prócz poziomek, bardzo obfitych w tym roku, nic uczciwego dostać nie można.

...więc tedy by nie poruszać tych spraw przykrych a miejskich, które obecnie wszystkim cuchną, trudno mi byłoby umaczać w atramencie feljetonowe pióro, gdybym na szczęście jako puławiak nie miał szczęścia być zaproszony na koleżeńską wycieczkę do Milanówka.

Dla odleglejszych, od Warszawy czytelników dodać jednak słów parę objaśnień muszę, że Milanówek, w którym przed kilku laty otwarto przystanek drogi wiedeńskiej, stanowi już obecnie, jedno z najuczęszczańszych letnisk i jest jakby przedłużeniem Warszawy, posiadając prócz licznych willi, cukiernie, mleczarnie, telefon, teatr i gdzie jednak o dziwo! nie napotkałem iluzjonu! Obecnie zaś był on przez dni kilka celem pielgrzymki pozostałych w Warszawie mężów, odwiedzających tam cudze i swoje żony i w dodatku wystawę przemysłowo-rolniczą, urządzoną w Milanówku przez grodziskie towarzystwo rolnicze i miejscowe Koło ziemianek.

Po tym, aż nadto długim wstępie, zapewne spodziewacie się państwo bardzo długiego a nudnego sprawozdania z tej dość krótkiej expozycji. Na szczęście jednak, nie będę was tem długo nudził, bo przecież sprawozdawca „Kurjera Warszawskiego" z zapałem, godnym skończonego agronoma i hodowcy, opisywał już wam wszystko, co tam było i być miało przez cały tydzień po dwa razy na dzień, aż do skutku. Ja więc nie chcąc mu wchodzić w paradę, muszę dodać tylko parę luźnych spostrzeżeń smutnej i weselszej natury.

Spostrzeżenia te przywodzą mi na myśl ten fakt znany, że okolice podmiejskie są zawsze narażone, obok dodatnich i na ujemne wpływy wielkiego kulturalnego środowiska; że więc okolice Warszawy z jednej strony, dając najbliższym jej rolnikom możność korzystania z udogodnień komunikacyjnych i pobudzając do gospodarstw mlecznych, ogrodowych, przemysłu hotelniczo-przemysłowego, pozwalając im ciągnąć doraźne korzyści z zapotrzebowania mieszczuchów na produkty spożywcze, oraz świeże na letniskach powietrze i zachęca ich z drugiej strony do gospodarowania z dnia na dzień, aby handel szedł — odchodziło mleko, drób i szparagi, a głównie, aby módz wyprzedać ziemię na łokcie pod budowę willi i szaletów i... apres nous le deluge, przepuścić gotówkę w niedalekiej Warszawie, od której co noc bijąca łuna elektrycznych i gazowych świateł łechce wyobraźnię podmiejskiego wieśniaka urokiem dozwolonych i zakazanych miejskich rozkoszy. A tymczasem gospodarstwo rolne się nie podnosi i kultura nie rozwija prawidłowo.

To też największą atrakcją dla poważnego spostrzegacza na tej podmiejskiej wystawie stanowiło nie to, co na niej było, ale raczej to, co być na niej było powinno a co właśnie ujawniły tablice statystyczne, pracowicie ułożone przez p. Wieniawskiego z Chlewni. Obok bowiem szczegółowo graficznie przedstawionej statystyki własnego wzorowego gospodarstwa, wykazującego ciągły jego rozwój i dochodowość przez ciąg ostatnich czterech trzechleci przedstawiono nam w tablicach ruch kulturalny, rolniczy i społeczny w gminach powiatu błońskiego, na których, obok tego co jest, wyrażono dezyderat co być powinno! I tak np. szkół jest 35, a powinno być, ze względu na ilość dzieci w wieku szkolnym 320. A choć jednak już jeden tylko monopol wypada na 10,868 mieszkańców, to zaledwie jedna szkoła na 4,660. Przypuszczać należy, że mieszkańcy powiatu błońskiego łatwiej mogą zaopatrywać się jednak w alkohol w poblizkiej Warszawie, niż posyłać tam dzieci na naukę? Małe wydatki gminne na każdą morgę przypominają o tem, ile to jeszcze potrzeb nie-

załatwionych a pilnych czeka lepszej przyszłości, pomimo że mamy w ręku autonomję gminną. Niewielka np. liczba straży ogniowych przypomina nam, niestety, że czerwony kogut ciągle jeszcze pieje we włościańskich strzechach; pomimo wzorów, jakie dostarczył wydział kółek rolniczych w dziale budownictwa ogniotrwałego. Ten dział przypomina nam też i nasze zapadłe i cuchnące chaty włościańskie i ciasne czworaki parobczańskie, to też z przyjemnością oglądamy wzory budownictwa wiejskiego i podmiejskiego w pawilonie grupy architektów warszawskich. Jeden tylko bowiem wzorowy dom dla służby wystawiono z ram i płótna, ale za to przyległy pawilon szkoły ogrodniczo-rolniczej w Pszczelinie lepszą nas napawa otuchą, że właściwie nie będą już siewać więcej „dziakowego żyta" na łokieć od ziemi ledwie wyrastającego, które na pamiątkę dawnych czasów widnieje między pięknymi okazami zbóż z rolniczych kółek wystawionymi obok eksponatów grodziskiej stacji doświadczalnej!

Tablice graficzne dodatnich skutków zcalania gruntów włościańskich każą przypuszczać, iż na przyszłe wystawy włościanie tamtejsi przyprowadzą też i lepsze okazy inwentarza żywego, niż obecnie!

Na wystawie ostatniej bowiem figurowały przecież głównie znane już w tym względzie w kraju dominia okoliczne, — więc też, czy pp. Jonasz Godsztand, lub hr. Plater będą mieli o jeden medal więcej, złaje się, że o to ani im, ani też społeczeństwu znów tak wielce nie chodzi. Więcej zaś natomiast trzebaby takich ochronek, jakie dają opiekę dziatwie w Chlewni, Gurowie, Jaktorowie, Zaborowie, Osuchowie, Jeremicach i t. d., więcej takich warsztatów wiejskich, jak w Kiczkach, Chylicach, Solach i t. d.

Jednakże miejmy nadzieję, że kiedy nawet „szatan" w swej osobie pomagać zaczyna już do rozwoju kultury naszej, nie będą go już zwalczać więcej, inni jego bracia ciemności!!! Tak bowiem zwie się nowy aparat do karczowania, który wystawiono przy kiosku warszawskiego syndykatu leśnego, jednej z najpotrzebniejszych instytucji naszych.

Jeżeli bowiem wspomnimy sobie na upadek leśnictwa naszego i uprzytomnimy ogołocenie kraju naszego z wszelkiego drzewostanu, największe niemal już w Europie i zarazem rzucanie po prostu miljonów w błoto, przez nieumiejętną gospodarkę leśną, to odradzanie się tej gałęzi gospodarstwa krajowego w postaci Wydziału leśnego C. T. R. i stworzonego jego siłami syndykatu — napawa nas jednak otuchą, że uratujemy jeszcze jednak od zagłady, choć te resztki naszych lasów, które nam topnieją w oczach z dnia na dzień, pomimo ochrony leśnej.

Kończąc uwagi o Milanówku, w każdym razie jednak, pomimo nieodzowne, w takiej imprezie braki, hołd głęboki oddać należy ziemianom i ziemiankom błońskim za ten piękny kwiat kulturalnych ich usiłowań, które zespoliły wszystkie tamtejsze warstwy wiejskie dla zbożnej pracy na polu postępu rolniczego.

Agricola.

Samopomoc społeczna.

Ludzie, pozbawieni jednego zmysłu, rozwijają w sobie inne, które w znacznym stopniu wypełniają brak tamtego. Ztąd ociemniali doprowadzają do nadzwyczajnego wysubtelnienia zmysł dotyku i słuchu; głusi rozwijają bystrość wzroku i czytają z poruszania ust, z wyrazu twarzy.

W podobnem położeniu bywają narody, pozbawione niezbędnych środków materjalnych rozwoju, płynących ze zmysłu państwowego, muszą pobudzać, zaostrzać zmysł samopomocy, czerpać siły z własnego organizmu. W takim właśnie położeniu my jesteśmy. To, co gdzieindziej jest obowiązkiem państwa, u nas—stało się obowiązkiem społeczeństwa. Nie posiadamy do rozporzędzenia własnego, ani funduszów państwowych, ani krajowych. Te sumy, jakie państwo wyznacza na nasze pierwszorzędne potrzeby, są zaledwie drobiazgiem zdawkowym, Towarzystwo rolnicze, Towarzystwo przemysłu ludowego dopiero w ostatnich latach otrzymały skromne zapomogi lub pożyczki z terminem określonym zwrotu, pomimo, że zarówno rolnictwo, jak i produkcyjność pracy ludu przysparza skarbowi dochody. To, co skarb państwa łoży na potrzeby gospodarcze Królestwa Polskiego, jest zaledwie drobną cząstką zwrotu tych funduszów, jakie płyną z Królestwa Polskiego do kasy skarbu państwa, pod postacią podatków pośrednich lub bezpośrednich. Natomiast rozległe i pierwszorzędne dziedziny życia są zupełnie pozbawione pomocy państwowej. Do takich należą przeważna część szkolnictwa ogólnego i specjalnego, wogóle wszelkie instytucje oświatowe i kulturalne, organizacje dobroczynne, instytucje publiczne, organizacje hygieniczne, lekarskie, naukowe, doświadczalne, badawcze i t. d. W tych dziedzinach społeczeństwo musi samo sobie radzić i jest szczęśliwe, jeżeli ta jego samopomoc nie natrafia na przeszkody formalne, niema hamulców, wstrzymujących oddech i tętno żywego organizmu.

Wyczuliśmy więc w sobie i wyczuwamy coraz bardziej zmysł samopomocy. Z okresu ofiarności jednostek bogatych, obdarzających instytucje, lub uwzględniających tylko te potrzeby, jakie są dla nich widoczne z lotu ptaka, na powierzchni życia, którego głębie nie zawsze są dla nich dostępne,—weszliśmy w fazę ofiarności zbiorowej. Ujawnia się ona wszędzie, w salach publicznych, na ulicy, pod postacią kwesty za pomocą kwiatka, wreszcie coraz silniej się ujawnia w zrzeszeniach.

Wszelkie zrzeszenia, z przeważającym żywiołem kulturalnym, w przeglądzie rocznych swoich bilansów, zawsze pamiętają o ogólnych

potrzebach społecznych. Niejednokrotnie między innemi dawały tego dowody: Towarzystwo kredytowe miejskie m. Warszawy, Bank handlowy warszawski, Towarzystwo Przemysłowców warszawskich i inne. Ujawniają te dążności również zrzeszenia na prowincji. W roku zeszłym na ogólnem zebraniu Towarzystwa wzajemnego kredytu w Będzinie, zebrani członkowie przy dyskusji nad wnioskiem władz Towarzystwa w sprawie podziału zysków, zamiast projektowanych 6% dywidendy, uchwalili wyznaczyć 4%, z pozostałej zaś sumy ofiarować 1% na szkołę męską w Będzinie (włącznie z ofiarami wyniosło 1500 rb.), resztę zaś podzielić w sposób następujący: 500 rb. na projektowaną w Będzinie szkołę rzemieślniczą, 400 rb. na chrześcijańskie Tow. dobroczynności, tyleż na żydowskie, 100 rb na straż ogniową ochotniczą, 100 rb. na czytelnię ludową i 130 rb. na zadrzewienie miasta. Wprawdzie tam bruździły żywioły egoistyczne, niekulturalne, ale znalazły się one w mniejszości. Podział zaś ofiar ujawnił samopomoc w tych dziedzinach, jakie są w innych krajach zaspakajane przez organizacje samorządne.

Największe atoli plony są zbierane przez najświeższe, dopiero od paru lat u nas istniejące organizacje „święta kwiatka“. Dwa największe miasta w kraju: Warszawa i Łódź, parokrotnie uzbierały w ciągu jednego dnia na walkę z najcięższemi niedomaganiami społeczeństwa co najmniej 70,000 rb.! Jeszcze niedawno o sumach takich nie śmiały marzyć żadne instytucje zbierające fundusze za pomocą zabaw lub odczytów. Nie trzeba jednak zapominać, że za pomocą święta kwiatka takie znaczne fundusze dadzą się zbierać tylko na walkę z temi niedomaganiami, które dotkliwie odczuwają szerokie masy, więc na walkę: z ciemnotą, nędzą, opuszczeniem, charłactwem, chorobami, niehygienicznemi warunkami życia i t. d., nigdy zaś na uposażenie instytucji niepopularnych, służących potrzebom klas uprzywilejowanych a nie dostępnych dla mas ludowych. Jeżeli więc może być kiedykolwiek mowa o nadużywaniu tej formy zbierania funduszów i o obawach utraty popularności tej kwesty, to tylko właśnie w takich wypadkach, jeżeli zapragniemy wyzyskiwać je na wysuszenie szerokich rzek niedoli i niedomagań płynących po nizinach.

To jednak, co się dotąd robiło i robi, jeszcze nie jest całkowitem wyzyskaniem źródeł ofiarności społecznej. Naród, pozbawiony normalnych, zdrowych warunków istnienia i rozwoju całej pełni sił twórczych, kulturalnych i gospodarczych, musi nieustannie mnożyć środki samopomocy, musi ich szukać we wszystkich dziedzinach życia wszystkich warstw społecznych; musi pobudzać nietylko jednostki, ale i instytucje do współdziałania. Mamy obecnie do czynienia z tym pomyślnym objawem, świadczącym o tem, że samopomoc zaczyna rozszerzać swe kręgi i zarazem sięgać coraz głębiej.

To też jest wielce pożądaną rzeczą wciągać do tej samopomocy wszelkie instytucje i zrzeszenia, nietylko w formie przeznaczenia pewnych kwot z dochodów, ale także w formie ułatwienia innego rodzaju, czy to przy zbieraniu środków materjalnych, czy przy zarządzeniu innych środków pomocy. Tutaj sharmonizowana działalność wszelkich zrzeszeń, czyli wzajemna ich pomoc jest nieodzowna. Wszelkie instytucje i zrzeszenia powinny dźwigać obowiązki obywatelskie. Jeszcze niedawno takie obowiązki dźwigała kolej Wiedeńska. Czerpiąc dochody z ludności kraju, poczuwała się ona do obowiązku przychodzenia z pomocą różnym grupom ludności, a więc czyniła ulgi: dla dziatwy ubogiej, wyjeżdżającej na kolonje letnie, dla młodzieży szkolnej, odbywającej wycieczki naukowe, dla członków Towarzystwa krajoznawczego i t. d. Słowem będąc składową częścią gospodarki krajowej, poczuwała się do obowiązków społecznych i kulturalnych. Dziś jest ona sztucznem gardłem w żywym organizmie, służącem do mechanicznego przesuwania przedmiotów płynnych lub stałych. Są jednak inne środki komunikacyjne, które należy powołać do samopomocy społecznej a więc do przewożenia na warunkach ulgowych lub bezpłatnie ubogiej ludności robotniczej, poszukującej powietrza; młodzieży szkolnej, odbywającej wycieczki naukowe; do przewożenia na warunkach ulgowych środków żywności w razie klęsk, wywołanych, jak powódź, nieurodzaje, drożyzna i t. d. Mamy jeszcze sporo kolejek prywatnych, mamy przedsiębiorstwa żeglugi, która się rozszerza i udoskonala.

Dalej, powinno być współdziałanie instytucji finansowych w rozwoju życia ekonomicznego. Niech one nie będą tyle przedsiębiorczemi do dyskontowania weksli, pobierania procentów, kar, stosowania środków egzekucyjnych, do popierania dyskonterów zawodowych, do robienia obrotów na papierach, lecz instytucjami zrośniętemi z żywym organizmem ekonomicznym. Niech w sobie wyrobią pierwiastki twórcze, na wzór ongi Banku Polskiego. Wszakże można to uczynić nawet w ramach ustaw istniejących. Poważna reforma, uskuteczniona w ostatnich czasach przez Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe dla rzemieślników i drobnych kupców w zakresie ułatwień pożyczkowych na cele produkcyjne, utworzenie funduszu gwarancyjnego i specjalnego komitetu dyskontowego, jest już krokiem naprzód na tej właśnie drodze. Instytucje kredytowe z organów martwych stają się żywemi współczynnikami twórczymi w naszem życiu ekonomicznem.

Wszystkie te objawy w sumie ogólnej wymownie świadczą o tem, iż samopomoc społeczna coraz szerzej i wszechstronniej się rozrasta, że wciąga wszystkie czynniki i warstwy społeczne. W takim duchu powinna iść ona dalej.

Z. Pietkiewicz.

OD REDAKCJI: Następny numer „Złotego Rogu“ poświęcony będzie twórczości Ryszarda Wagnera.

TEATR

TEATR POLSKI.

„Gromiwoja" Arystofanesa, komedja w 3 aktach, przekład Ed. Żegoty-Ciąglewicza. Reżyserował A. Zelwerowicz.

D y r e k c j a teatru Polskiego błąkając się czas pewien po płaskich ścieżkach mieszczańskiego repertuaru, znalazła się znowu na d r o d z e wiodącej do wiecznym blaskiem jaśniejących marmurów Akropolis.

Z a z n a c z o n y wystawieniem „Gromiwoji" zwrot ku klasyczności, przyjęła wychowana na jałowym, eklektycznym repertuarze warszawskich teatrów publiczność, z entuzjazmem i uczuciem wdzięczności i radości, jaką zapala się serce wędrownika po żółtych, spalonych piaskach, na widok oazy, choćby ukrytej, w zdradzieckich mirażach fatamorgany.

W odrodzeniowym ruchu współczesnego teatru, komedje Arystofanesa, wystawione z oryginalną pomysłowością, w centrach kulturalnych, spełniają rolę probierza dzisiejszej *sztuki teatru*, która z ułomków karyatyd Erechtejonu i złomów głowic Propyleji stwarza żywą krwią nabiegłą o jędrnych piersiach i udach, całość.

Arystofanes w swej trylogji komedjowej, „Kusicielki Tesmoforji", „Wiec kobiet" i wystawionej onegdaj „Lyzystracie" (Gromiwoji) porusza stare jak świat zagadnienie „wiecznej kobiecości", w sposób tak pikantny i zajmujący, iż w mysi kąt zapędza współczesnych Fleur'ów i Caillavet'ów.

Arystofanesa zacięcie komedjowe wypływało z jadowitej satyry, jaką bezlitośnie smagał współczesnych rodaków, w swych utworach, pleniąc kołtuństwo i głupotę. Że się w „Chmurach" dostało „demagogowi" Sokratesowi, to już wina temperamentu publicysty Arystofanesa, który walcząc z sofistykami, sam używał ich niecnej broni.

„Lyzystrata" daleką jest od patosu tragedji Eurypidesa i Sofoklesa, bakchiczny pląs, wywiódł ją daleko poza obręb świętego Apolińskiego βωμὸς.

Wesoły, pogodny nastrój jowialnej ktotochwili, panuje samodzielnie od pierwszego do ostatniego epejzodonu. Konwencjonalna obyczajność dzisiejsza zmusza do skreślania Pryapicznych, swywolnych scen teatru Arystofanesa, które w komedjach jego niepoślednie miejsce zajmują.

Lyzistrata dzielna i przemyślna niewiasta wpadła na pomysł, którego mogłyby jej pozazdrościć sufrażystki angielskie. Organizuje strejk żon i kochanek ateńskich, który potrwa tak długo póki Ateńczycy, swarzący się w długiej wojnie z sąsiedniemi miastami nie zawrą pokoju. Archont, spełniający urząd wojskiego, nie może dać sobie rady z rozzuchwalonemi babami, a gotując zasadzkę, wpada sam z swymi pachołkami i chórem pod zlew pomyji, zgrabnie wylanych rączkami dzielnie zorganizowanych Ksantyp.

Gromiwoja walczy z miotłą w prawej a tarczą w lewej ręce o swobodę białogłów, bacząc by, niby wełnę brudną zmyć z ludu kołtuństwo.

Po krótkiej perypetji, odkrycia kilku łamistrejkiń, które tęsknią do łoża małżeńskiego, w rozkosznej i niedwuznacznej scenie, Myrrine zwycięża rozpaloną do czerwonościnamiętność swego męża Kinesjesza i zmusza współobywateli do złożenia broni u stóp przywódczyni historycznego strejku, Gromiwoji.

Teatr Polski wystawił „Gromiwoję" ze znanym pietyzmem i starannością, posługując się poczęściej Reinhardtowskim prawzorem inscenizacji. Wysiłki i zmiany scenarjusza, by nadać inscenizacji „Teatru Polskiego" piętno oryginalne, nie udały się w sposób zadawalniający.

Jeśli wypowiadamy sądy surowsze nawet wtedy, gdy wokół rozlegają się okrzyki entuzjastyczne, zapewniające kasowe powodzenie sztuki to jedynie z tych względów, iż do poczynań i szczerych zamiarów artystycznych teatru Polskiego, przykładaliśmy miarę wysoką.

Inscenizacji „Teatru polskiego", którego już samo powstanie jest blaskiem jutrzenki, w pracy nad powstaniem rodzimej teatralnej kultury, brak było poczucia klasycznej linji i ducha. Odegranie karnawałowej krotochwili, na olbrzymich ponurych schodach jakiejś tajemniczej świątyni, otoczonej murami, o przerażających wymiarach wysokości i zacieśniających scenę oświetloną niemrawo, przez cały czas trwania lubieżnej i pełnej pogodnej swywoli, krotochwilnej akcji, wydało się nam wysoce niewłaściwem.

Poruszeń chóru i wojujących niewiast nie udało się powiązać w konwencjonalny, obowiązujący komedje klasyczne rytm. Tańce, ułożone według D a l c r o z a, a wprowadzające wybijanie rytmu, przytupywaniem końca każdego taktu, były kompozycją nieudolną. Charakterystyką greckiego tańca była powiewność i lekkość ruchów cudownie wskrzeszona przez Izadorę Duncan; łączenie tych spokojnych pełnych umiaru poruszeń z ludowem przytupywaniem, przyswojonem z tańców ludowych, oberka i kołomyjki nie wymaga filologicznego sprawdzianu, by wykazać nieodpowiedniość.

Pokaz warszawskiej ekspozytury systemu Dalcroza był nie na miejscu w dziele Arystofanesa. Reżyserja nie zdołała opanować wokalnie chórów kobiecych, które zatracały piękną formę wiersza naturalistyczną komedjową interpretacją, co się również tyczy chóru męskiego.

Poruszenia i układ masy, w pierwszym akcie nie cechowały względy o plastyczną i malarską stronę widowiska.

Stroje, skomponowane dobrze, nie były pozbawione fatalnych usterek, jakiem jest użycie stożkowatego kapelusza, który nigdy nie był noszonym w Grecji starożytnej, a jest reminiscencją z glinianego okrycia głowy starych posągów, które miało strzedz drogocenny marmur przed niechlujstwem ptactwa. Kompozycja z tego czerepu glinianego, kapelusza, rozśmiesza nietylko pedantycznych „filologów... jak również przerażającej wielkości konwie, o formie miniaturowych arcydzieł sztuki garncarskiej, dawnej Etrurji. Powiększenie proporcji zohydziło rzecz samą. Zamiast tych kraterów i pseudo-waz etruskich należało użyć konwi międzynarodowej formy, jakie służyły, a może i służą Ksantypom.

Architektura dekoracji Teatru Polskiego nie tłómaczy się jasno. Nie wiemy, czy ma przedstawiać fragment propyleji wiodących do Akropolis, czy też jest rekonstrukcją sceny greckiej, jak to było w inscenizacji Reinhardta, w której akcja odbywa się na górnem logejon, związanem schodami z orkiestrą, na której t. j. u dołu, znajdował się ołtarz. Logejon stanowiło taras z peristylem i otwartym widokiem na Ateny.

Używanie wymiarów zbliżonych do rzeczywistości i budowanie niebosiężnych schodów, uważam za krępujące akcję dramatyczną i przytłumiające stosunek człowieka, do tej *budowanej* sceny.

P. Wysocka w roli Gromiwoji przeszła najśmielsze oczekiwania i stworzyła doskonałą postać, dominującą gestem, postawą i ruchem nad otoczeniem, które aczkolwiek złożone z jej rówieśnic, zmalało do orszaku służebnego. Scenę uwodzenia z pomysłową zalotnością i zmysłową pikanterją odegrała p. Zarzycka i p. Leszczyński.

Znakomitym w masce i grze był Strymodoros-Zieliński, nieco operetkowym, archontem p. Węgrzyn Maksymiljan. Komedjowe akcenty wydobywali przepysznie starcy Grabowski, Szobert i Jarniński. Reżyserja winna była większą uwagę zwrócić na charakteryzację scytyjskich pachołków.

Całość przedstawienia mimo wykazanych usterek należy do najbardziej pod względem artystycznym udałych przedstawień w Teatrze polskim, który takiemi wieczorami, zaskarbia sobie coraz większe uznanie publiczności i krytyki. *Marjan Dienstl.*


Scena z zabronionej w Niemczech sztuki Gerharda Hauptmanna.

TEATR LETNI.

Robert Bracco z powodu omówienia w „Kurjerze Warszawskim“ wystawionej niedawno „Prawdziwej miłości“, nadesłał krytykowi tegoż pisma, Władysławowi Rabskiemu list, z którego przytaczamy następujący znamienny ustęp: „*Sądzę, że naród cywilizowany ma obowiązek przed ofiarowaniem gościny cudzoziemcom popierać w granicach możliwości sztukę swojską*“.

Co skłoniło kierownictwo sceny do wystawienia utworu pośledniego talentu, małoznanego węgierskiego autora, Aleksandra Brody'ego, to stanowi zagadkę zakulisowych stosunków. „Nauczycielka“ mimo doskonałej gry p. Ordon-Sosnowskiej, nie zdołała zająć uwagi publiczności. Naiwna osnowa sztuki, budzącej wspomnienia nudnych romansów, opiera się na stosunku biednej wiejskiej nauczycielki do tuzina nikczemników, wyzyskujących położenie biednej kobiety.

Łzawa tendencja obyczajowa, banalne środowisko i nieciekawa charakterystyka działających osób, czynią z tej sztuki utwór godny scen małomiejskich w Siedmiogrodzie, zwanym przez autora przekładu Kończyńskiego „Siedmiu zamkami“.

Wystawienie „Nauczycielki“ spowodować mogła jedynie kanikuła, z którą zwycięsko walczyć jedynie umieją „Dudek“ i „Gromiwoja“.

Wystawa sztuki, jak zwykle, szpetna. *m. d.*

Kronprinz i poeta.

Na uroczystościach junkierskich w Wrocławiu, urządzanych w jubileuszowym roku bitwy narodów i powstania silnych Prus, 1813 roku, odegrano Festspiel, ułożony przez Gerharda Hauptmana, znanego poety niemieckiego. W utworze tym wybitnej wartości, przedstawił Hauptman postać dyrektora teatru świata, z marjonetkami: Napoleonem, Fryderykiem Wielkim i Blücherem. Hauptman był w przedstawieniu dziejowych ważnych wypadków sędzią objektywnym.

Opiewał męstwo ludu niemieckiego w walkach o wolność, zostawiając w cieniu perfidną działalność pruskich królów.

Protektorem wrocławskich uroczystości jest niemiecki Kronprinz. Młodemu oficerowi huzarskiemu niepodobał się brak serwilizmu i junkierskiego ducha u Hauptmana. Zakazał przedstawiać kosztownego widowiska, w którem brali udział zaproszeni z całych Niemiec artyści i reżyser Reinhardt.

Rozpoczęła się wrzawa. Kulturalne Niemcy solidaryzują się z chlubą Niemiec, sędziwym poetą Hauptmanem, huzarzy zaś, weterani i junkrzy pruscy trzymają stronę Kronprinza.

Pisma humorystyczne i satyryczne przepełnione są dowcipami na temat tej afery Kronprinza i Hauptmana.

Popis klasy dramatycznej Tow. Muzycznego.

Teatrom polskim brak obecnie t. zw. „zarybku“ aktorskich. talentów. Popyt na siły aktorskie i cozatem idzie gaże wzrastają, użytecznych artystów jednak brak.

Pedagogiczna praca dyr. Pomiana i prof. Frenkla, Rolanda i Śliwickiego wyrabia adeptów i adeptki sztuki do stawiania pierwszych kroków na deskach teatralnych.

Popis szkolny odbyty w sali teatru Małego wykazał, iż uczniowie i uczennice klasy p. Pomiana w większym, lub mniejszym stopniu wykazują warunki i zdolności sceniczne.

Popisywały się z powodzeniem panie: Barańska Janina, Bruczówna Halina, Grudowska Janina, Jasińska Aldona, Lindowska Ewelina, Lodowska Marja, Miłobędzka Maryla i Wróblewska Hanna oraz pp. Marjan Jankiewicz, Stefan Orzechowski, Zygmunt Kęcki, K. Pierzyński, Adam Tartakowicz.

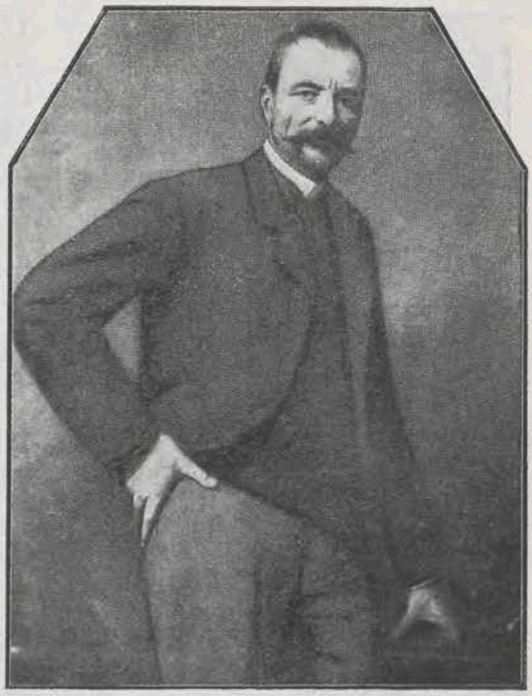
Brindejonc w Stockholmie.

Najsławniejszym bodaj człowiekiem jest obecnie Brindejonc de Moulinais. Po rekordowym przelocie Paryż-Warszawa, który odbił się echem nawet w prasie wojskowej, śmiały lotnik, jak wiadomo udał się do Petersburga, stamtąd zaś do Stockholmu.

Pierwotnie plan przelotu wykreślał drogą ponad Finlandją w poprzek zatoki Botnickiej, następnie jednak ze względów technicznych zmieniono marszrutę i lotnik odbywał swą podróż do Szwecji via Rewel. Torpedowce rozstawione co dwadzieścia wiorst, śledziły lot Brindejonc'a, gotowe mu przyjść z pomocą. Lotnik jednak bez wypadku dotarł do ziemi szwedzkiej.

W Stockholmie zgotowano śmiałemu podróżnikowi entuzjastyczne przyjęcie, wraz z uroczystemi ceremonjami.

I jest ten entuzjazm dla młodego francuza zupełnie zrozumiały — oddawna nie mieliśmy tak szczęśliwych, niekrwawych bohaterów.



Hr. Stefan Tisza.

Hr. Tisza.

Jakkolwiek magnaterja węgierska ma dość wyrobioną opinję ludzi nie liczących się z niczem dla zaspokojenia swoich ambicji, prym jednak między wszystkimi trzyma bezpiecznie hr. Tisza.

Jako naczelnik rządu używał wszelkich dozwolonych i niedozwolonych sposobów dla stłumienia opozycji, nie wahając się nawet użyć siły fizycznej dla stłumienia niewygodnych dlań głosów o parlamencie. Jako reakcjonista i madziaryzator był zmorą swobodnego życia konstytucyjnego na Węgrzech.

Ostatnio krążą coraz uporczywsze pogłoski, iż hr. Tisza, obecnie prezydent ministrów węgierskich, obejmie tekę austr.-węg. ministra spraw zagranicznych po ustąpieniu Berchtolda.



Brindejonc de Moulinais w Stockholmie.



W Austrji rozdano wszystkim rezerwistom, powołanym pod broń podczas ostatniej mobilizacji order, którego wyobrażenie jego podajemy. W dziejach woskowości jest to pierwszy tego rodzaju wypadek.



Ks. kanonik Hipolit Skimborowicz,
mianowany proboszczem parafji św. Krzyża w Warszawie.

Dr. Sikorski.

Inicjatywa społeczna jest u nas dość rzadka, rzadszem atoli jest wytrwanie na obranym i stworzonym przez się posterunku.

Do takich spokojnych, cichych a wytrwałych pracowników należał i zmarły świeżo dr. Sikorski.

Był on projektodawcą i założycielem szpitala dziecięcego przy ul. Kopernika, wiedząc, jako lekarz z powołania, że chore dziecko wymaga specjalnej pieczołowitości i otoczenia innego nieco, niż zwykłe szpitalne. Po dość długich zabiegach o uzyskanie koncesji i zdobycie środków stanął przed trzydziestu kilku laty znany całej Warszawie skromny zakład a dr. Sikorski do ostatniej chwili życia pełnił w nim obowiązki prezesa zarządu i starszego lekarza.



Antoni Sikorski,
prezes i założyciel szpitalika dziecięcego przy ul. Kopernika.

Polityka

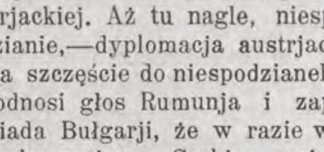
Wojna o posiadanie Bałkanów. — Fajerwerki dyplomatyczne.—Przejrzyste obliczenie.

Wojna o wyzwolenie Bałkanów z pod władzy tureckiej już się skończyła; ale nie skończyła się wojna o posiadanie Bałkanów. Ta ciągle się toczy, przedewszystkiem zaś w gabinetach dyplomatów, po cichu, niemal w tajemnicy i tylko od czasu do czasu strzeli w górę jakiś wielki fajerwerk dyplomatyczny, olśni widzów do tego stopnia, że nie są w stanie zdać sobie sprawy, co się właściwie stało—i cichnie na czas jakiś.

Przypomnijmy te wielkie fajerwerki lat ostatnich. Austrja okupuje Bośnię i Hercogowinę; pod opieką Rosji tworzy się związek bałkański. Wybucha wojna z Turcją, wojna, będąca bodaj większą kleską dla Austrji, niż dla samej Turcji. Na usilne domaganie się Austrji mocarstwa powołują do życia—na papierze — niezależną Albanję, z widocznym, choć starannie ukrywanym celem rozbicia związku bałkańskiego. Związek rozbija się, między Bułgarją z jednej a Serbją i Grecją z drugiej strony wybucha spór, z zamiłowaniem podtrzymywany i popierany przez Austrję, a o konieczności prowadzący do wojny. Aby ułatwić, Austrja wystarała się zręcznie o zneutralizowanie jej, to jest o układ między mocarstwami, iż żadne nie wmiesza się czynnie w tę wojnę, grożącą narodom bałkańskim zniszczeniem i ruiną.

Rachunek był bardzo prosty i bardzo przejrzysty: Bułgarzy mają do rozporządzenia 400,000 wojska; Serbja ma 250 tysięcy, Grecja 100, Czarnogórze 20, — wszystkie trzy razem nie dorównają Bułgarji; zresztą Grecja niema wielkiego interesu w wojnie; zdobyła to, co od dawna było celem jej pragnień; po co ryzykować więcej. Tak czy owak Serbji groziła klęska, zniszczenie, może nawet zupełne rozbicie niezależnego państwa serbskiego. A o to właśnie idzie Austrji, w której granicach więcej żyje serbów (rozmaite noszących nazwy), niż w całej Serbji wraz z jej nowo uzyskanemi w ostatniej wojnie terytorjami. Ci serbowie austryjaccy wcale nie kryją się ze swemi sympatjami dla Serbji niezależnej. A takie sympatje, — to na dalszą metę zguba Austrji. Zniszczyć Serbję, wcielić ją do Austrji lub oddać zaprzyjaźnionym z Austjrą bułgarom, — byłby to fajerwerk, wspanialszy, niż wszystkie dotychczasowe. Rosja musiałaby się pożegnać na zawsze z wpływami na Bałkanach.

Zdawało się, że fajerwerk ten lada chwilę wybuchnie i powetuje wszystkie dotychczasowe niepowodzenia dyplomacji austrjackiej. Aż tu nagle, niespodzianie,—dyplomacja austrjacka ma szczęście do niespodzianek—podnosi głos Rumunja i zapowiada Bułgarji, że w razie wybuchu wojny z Serbją, wojska rumuńskie wkroczą na terytorjum bułgarskie. To popsułoby cały rachunek dyplomacji austrjackiej. Rumunja bez trudności wystawić może 300 tysięcy wojska. Z taką pomocą Serbja nie tylko obawiałaby się zniszczenia, ale sama mogłaby zamarzyć o podbiciu Bułgarji, o powtórzeniu dzieła wielkiego króla serbskiego, Stefana Duszana, który i Bułgarję całą zajął, i panowanie serbskie niemal na cały półwysep bałkański rozszerzył.





Femina

KOSTJUMY KĄPIELOWE W 1913 ROKU.

Lipiec jest kulminacyjnym punktem wszystkich wyjazdów, wielkim sezonem miejsc kuracyjnych wogóle a kąpieli morskich w szczególności. Cały kosmopolityczny świat eleganckich a zamożnych ludzi, udaje się na morskie wybrzeże, bądź to w celach zdrowotnych, bądź dla tego, że tak nakazuje wszechwładna moda. *Ostenda, Blanckenberge, Diepppe Trouville-Dauville, Newport* w lipcu do połowy sierpnia—a następnie *Biarritz* i *Arcachon,* oto są wielkie, tak zwane *plaże,* gromadzące najwystawniejsze europepejsko - amerykańskie towarzystwo, bajecznie eleganckie i szalenie zbytkowne. Oczywiście, każda z wymienionych miejscowości kąpieli morskich, ma swoje specjalne właściwości towarzyskie, posiada swoją zwykłą klientelę. W *Ostendzie* spotyka się przeważnie Anglików i Amerykanów oraz Polaków i Rosjan, zagłuszają oni liczebnię, miejscowych Belgijczyków. *Blankenberge* odległe od pół godziny, ma odrębny charakter. Jest to jedna z letnich rezydencji dworu belgijskiego, odwiedzana tłumnie przez Belgijczyków, zostających w styczności z dworem, oraz przez sporą frakcję Niemców oraz osób różnych narodowości lubiących względną ciszę i spokój, gdyż o ile Ostenda wre życiem, muzyką, zabawą, błyszczy świetnemi strojami, o tyle *Blanckenberge* żyje przeważnie, o wiele skromniej choć z wielkim komfortem. *Dieppe* jest ulubionem miejscem kąpieli morskich, bogatej francuskiej burżuazji, kuchnia znakomita, wszelkie możliwe wygody, dużo anglików, ładne eleganckie tualety, sporo rozrywek. *Trourille-Danville,* to cały Paryż nieten co myśli i pracuje—ale ten co się bawi i używa. Tak zwany *la grande semaine,* tydzień wyścigów, gromadzi w *Trouville* całą elegancję paryzką, ze światem artystek scenicznych i pół światkiem na czele. Tam, niewolnice mody, zmieniają tualety 4—5, razy dziennie, jest to niebywała orgja strojów, o jakich się nie śniło żadnym na świecie filozofom. Do *Newport* jeżdżą milijonowi Anglicy i Amerykanie dla ślicznej *comfortable plaży* i arystokratycznej ciszy i spokoju. Sławne za czasów drugiego Cesarstwa *Biarritz,* gdzie cesarzowa Eugenja miała cudny pałac, kąpany falami oceanu i gdzie chętnie ze swym dworem przebywała, jest dziś punktem zbornym arystokratyczne kosmopolitycznego towarzystwa, wszystko tam jest dostosowane do wielkiej skali... oceanu. *Arcachon,* to cudny szmat południowej Francji, udają się tam ludzie *prawdziwie* chorzy — dla *prawdziwej* kuracji. Rzecz prosta, że każda z tych miejscowości ma swój rodzaj tualet kąpielowych, zastosowanych do rodzaju towarzystwa. Dawniej kwestja tych ko-



Kostjum kąpielowy na rok 1913.

stjumów w których wchodziło się do wody, była niezmiernie prosta, krótkie kąpielowe trykociki, bluza, czepeczek przysłaniający włosy, sandałki ochraniające nogi i długi flanelowy płaszcz, kładziony przed i po kąpieli—oto wszystko.—Dziś—są to poprostu *stroje*. Pełne jedwabne trykoty, białe pantofelki, i wspaniałe rozliczne przejrzyste tiuniki z przepięknych specjalnych materji, na szyi perły, którym kąpiele morskie są zalecane dla zachowania blasku, na głowie kosztowny zawój, płaszcz w rodzaju greckiego *peplosu*, zdobny najkosztowniejszemi koronkami—oto co moda nakazuje swym ulubieńcom, oto jak je ubiera a raczej *rozbiera*, ku ich własnej uciesze a podziwowi tych wszystkich, którym dano jest na to patrzeć.

Zbytecznem byłoby dodawać, że tego rodzaju *tualety*, należą do ekscentryczności, o których należy wiedzieć, ale do których zwykłe, rozsądne śmiertelniczki, się nie stosują, trzymając się dawniej ustalonego kąpielowego kostjumu, to jest trykotów (*caleçons de bain*) bluzy przepasanej sznurem, czepeczka i sandałków, oraz białego lub pąsowego płaszcza flanelowego. Wszystko to może być bardzo ładne i eleganckie ale musi być praktyczne i ściśle przyzwoite.



Tualeta zdobna futrem i koronkami.



Tualeta spacerowa obramiona gronostajami.

FUTRA W LECIE.

Kobiety mają przedziwny tualetowy instykt, to też wiedzą dobrze — że futra wogóle, są jednym z najpiękniejszych czynników wytwornego zdobnictwa ich postaci. Nic tak nie ubiera, nic nie daje takiego *cachet*, nic tak nie zaznacza i nie podkreśla elegancji, jak owa *zwierzęca skórka*, pięknie wyprawiona i dostosowana do kobiecego stroju.

To też moda, mająca ciągle na celu podniesienie naszego kobiecego wdzięku, rozmiłowała się bezgranicznie w tym rekwizycie, czyniąc go przedmiotem największego bodaj — równającego się z prawdziwym brylantem i prawdziwą koronką—tualetowego luksusu. Futra w ostatnich latach dziesięciu, podrożały w olbrzymich proporcjach—w miarę zapotrzebowań wzmagały się ich ceny, a w miarę wzmożonych cen rosły zapotrzebowania, jest to zaczarowane koło bez punktu wyjścia, bo wszakże należy przypuszczać, żeby kobiety zrezygnowały z tej tualetowej tak poważnej i powabnej frakcji.

Do jakiego stopnia futra przypodły paniom do serca i... ramion, mamy dowód oczywisty, w tem, że nawet latem, nie chcą się wyrzec ukochanej ozdoby, stosując ją na rozliczne maniery. Przedewszystkiem tak zwaną etolę futrzaną nosić całe lato *można* — a u nas nawet *trzeba*, gdyż zabezpiecza od częstych wieczornych chłodów, najpiękniejsze w tym celu są oczywiście gronostaje, białe, z frendzelką z ogonków tych cudnych zwierzątek. Taki szal podszyty jak latem bladoróżową wymarszczoną gazą, jest szczytem elegancji. Prócz gronostaji noszą bardzo — lisy białe (dwa spięte misternie) zarzucone na ramiona.

Do najwytworniejszych tualet letnich stosują ramowania z futer, oczywiście o włosie krótkim, niebardzo puszystym —

i taka *ramka* zakończająca koronki, przezroczne batysty *linon*, lub wzorzyste gazy, prześlicznie wygląda.

Płaszcze wieczorowe tak bardzo noszone i tak bardzo eleganckie, wszystkie ozdabiane są futrami, niektóre okładają szeszeroko gronostajami. Są to oczywiście wszystko okazy wielkiego tualetowego zbytku, o którym trzeba wiedzieć, że istnieje na szerokim świecie, ale wprowadzić go w osobiste życie jest przystępne tylko dla tych pań, które nie potrzebują liczyć się z tualetowym budżetem — a takich u nas — jest nie wiele.

Marcèle.

CHOROBA WŁOSÓW I SIWIZNA.

Z pomiędzy wielu kwestji wchodzących w zakres postępowej-leczniczo-zachowawczej kosmetyki, kwestja włosów, ich chorobliwych przypadłości, oraz siwienia przedwczesnego, występuje na plon najpierwszy, tworząc niezmiernie obfity dział środków zachowawczo-ratunkowych, obmyślanych i puszczanych w szeroki obieg, przez najpierwsze powagi zajmujące się tą frakcją chemji i medycyny.

Przyczyn chorób włosów jest bardzo wiele: anemja czyli niedokrwistość, przeczulenie nerwowe, zła przemiana materji czyli artretyzm, przebycie jakiejś ciężkiej gorączkowej choroby, i t. d. i t. d. wszystko to powoduje wypadanie włosów, uniemożliwia ich normalny porost wypływający ze zdrowotności.

Do najcięższych chorób włosów, uważanych jeszcze do nie dawna za nieuleczalne, należą *łamliwość* włosów (Frichorrhexis nodosa) i *rozczepianie* włosów (Scissura pilorum). Pierwsza polega na tem, że na włosie tworzą się gruzołkowate zgrubienia, koloru szarego, skutkiem czego włos zamiast rosnąc falisto zgina się i łamie w miejscu zgrubienia druga spotyka się na wolnym końcu włosów, powodując widełkowate rozdwojenie. Babki nasze nazywały to *molami*. Obie te choroby rujnują *à la longue* najpiękniejsze włosy zarówno u kobiet jak i u mężczyzn. Otóż wielkie odkrycie *Radu* i jego właściwości, oraz zastosowania do celów leczniczych i kosmetycznych, położyło kres różnym przypadłościom włosów i cery, darząc postępową kosmetykę, całą serję wyrobów *radjoaktywnych i radjowanych*, z których dwa przetwory stosują się specjalnie do włosów mianowicie *Olejek* „Hel" *radjoaktywny*, przeciw *łamliwości i rozczepianiu* a *Radiol* na wzmocnienie i porost.

Kwestja siwizny — mianowicie jej przyczyny — zwalczania takowych — i farbowanie włosów siwiejących lub siwych, na różne ich pierwotne kolory lub żądane odcienia — to istotnie — jak powiadają — całe morze do wypicia. Środków maskujących siwiznę, tak zwanych *wód progresywnych* (z małym wyjątkiem nie odpowiadających celowi a bardzo nie miłych w stosowaniu) oraz farb o wiele lepszych jest bez przesady tysiące tysięcy — każde chemiczno-kosmetyczne *laboratorjum* każdym większy *zakład fryzjerski*, ma swoje specjalne farby które stosuje swym pacjentom wychodzącym nieraz z tych operacji z fantastycznemi kolorami włosów, które wprawdzie przestały być siwe, ale są za to zielonawo żółtawe — lub fijołkowo szarawe. Wielka trudność prawidłowego, ładnego ufarbowania siwiejących włosów, polega i na tem, że włosy, zarówno jak cera ludzka, mają rozliczne poszczególne gatunki, bardziej lub mniej podatne do chwytania farby.

Pierwsi chemicy pracują teoretycznie i doświadczalnie w kierunku udoskonalenia farb do włosów, to też uczyniono w ostatnich latach olbrzymie na tem polu postępy. Śledząc bacznie za temi przejawami wyróżniałam kolejno różne farby a w ostatnich czasach doszłam do przekonania, że wzorową pod każdym względem farbą, jest tak zwana *Eau de Juvence*, paryzkiego chemika p. *Caro Lenveille*. Przywraca włosom siwiejącym lub siwym pierwotny ich kolor, farbuje na żądane odcienia, reaguje na każden gatunek włosów — jest trwała a zarazem subtelna, delikatna, to jest że nic włosom nie szkodzi. Ma jeszcze jeden ważny przymiot, nie brudzi skóry ani bielizny. Pojawiła się niedawno w stolicy stolic, zyskała tam bardzo szybko duże wzięcie, które oczywiście znalazło silny oddźwięk i u nas. Jestem pewna, że osoby które zaadoptują, *Ean de Juvence*, nigdy innej farby stosować nie będą.

Z LITERATURY KOBIECEJ.

W kraju, gdzie rosną niebieskie migdały. Emma Roszyńcówna Warszawa. Wende i Sp.

Książkę tę cechuje przedewszystkiem brak wyrobienia i techniki literackiej. Autorka nie może zdecydować się jak właściwie ma pisać. I tak w noweli „Romans pół-grecki" snuje w poetycznej formie bajkę o dziewczynie i leśnym faunie — coś ze snu, coś z widzenia fantazji, aż tu naraz w końcu obrazka wylata szczegół nawskroś realistyczny, o tem jak wracając do wsi dziewczyna, pokazuje rękaw koszuli wyrwany — twierdząc, że ją „zły" w lesie napastował. I stajemy wobec pytania, czy autorce chodziło o symbol, czy też o zwykłą, niewyraźną przygodę? Wogóle p. Roszyńcówna za bardzo splata rzeczywistość z fantazją nie wypowiedziawszy ich wzajemnego do siebie stosunku — tworzy to zgrzyty, nierówności i czyni rzecz niezrozumiałą.

Ciekawie pomyślana i nie najgorzej wykonana jest nowela o tem: „Jak dziewanna bogini służką świętej pani została" — zdobi ją głębsza myśl i prawdziwe natchnienie.

P. Roszyńcówna zapowiada się jako talent poetycki — z inklinacją ku formie bajek — nie sądzę, aby kiedykolwiek pisała dobre powieści, we właściwym jednak sobie zakresie stanowić może poważną i interesującą siłę — nie braknie jej bowiem polotu, styl ma dobry, barwny, nie nudny jednostajnością i pochlebnie świadczy o pewnem przygotowaniu teoretycznem autorki.

K. Łozińska.

WOKOŁO KOBIETY.



Jak się ubierać na przedstawienia operowe.

Jest to bardzo skomplikowane zadanie. Zostało ono częściowo rostrzygnięte przez mistrza nożyczek a zarazem *super arbitra* elegancje w Londynie M-rs *Humphreyi*, w sposób następujący. Wytworna elegantka powinna dostosować tualetę do wystawionej tego wieczoru opery. Dzieła Wagnera wymagają—tiory—*Tosca* wymaga diademu we włosach. *Pani Butterfly* materji w kolorach jasnych świetlanych. *Faust* żąda skromności w stroju. *Czarne domino* i *Biała dama*, zaznaczają swoje dążności już samym tytułem. *Carmen* wymaga stroju z zacięciem hiszpańskim, ognistym. *Violeta* (dama kameljowa) wielkiej elegancji w stroju... no i tak dalej i tak dalej—*Misters Humphrey* jest widocznie subtelnym psychologiem!..

Dama i malarz.

Wielka dama księżna X. pragnęła koniecznie zbliżyć się do malarza D. — wielkiego dziwaka—mizantropa, dzikusa. W tym celu przebrała się za modelkę i stanęła przed obliczem mistrza. Po chwili usłyszała te słowa „Rozbierz się i włóż ten płaszcz". Dama się opierała, mistrz nalegał — wreszcie wyznała mu prawdę „Jestem księżną X... „Tak"!... odrzekł mistrz gburowato — „Jesteś księżną X... no w takim razie rozbierz się, włóż ten płaszcz — albo idź do djabła"!.. Księżna nie dała sobie powtórzyć tej propozycji i z najwyższym gniewem opuściła niegościnną pracownię.

Dekolt w Ameryce.

W Stanie *Ohio* ogłoszono dekret następujący: Zakazuje się na terytorjum Stanu *Ohio* wszelkiego choćby najmniejszego dekoltu, zakazuje się również noszenia ażurowych pończoch, obcisłych sukien, wysokich obcasów, oraz jakichkolwiek dodatków do własnych włosów. Oczekiwaną jest gromadna emigracja kobiet, z tego kraju do Warszawy.

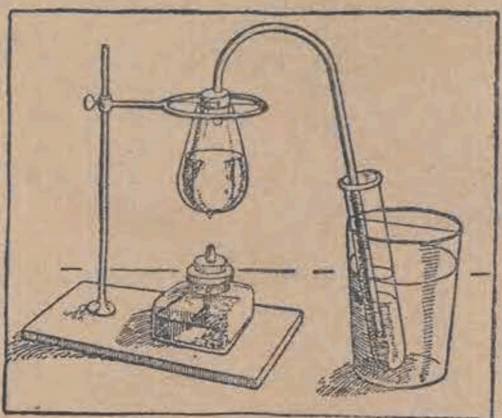
Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kwartał III-ci.

POPULARYZACJA WIEDZY

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Aparat do przepędzania płynów.

Każdy prawie z łatwością może sobie zbudować niewielki przyrząd do przepędzania wody. Zamiast używanej w tym celu probówki lub kolby, można wziąć zepsutą elektryczną lampkę, którą należy uwolnić od części metalowych. W tym celu, w przypuszczalnym miejscu przecięcia,



Aparat do przepędzania płynów.

należy za pomocą pilnika naznaczyć kreskę, obwiązać dane miejsce mocnym i cienkim szpagatem, przesiąkniętym spirytusem i potem go zapalić. Wówczas nagrzewa się wązki pierścień szkła; jeśli teraz lampkę oblejemy bardzo zimną wodą, to wskutek nagłego obniżenia temperatury, szkło pęknie w miejscu pożądanem. Otwór, który się w ten sposób w lampce utworzył, szczelnie zatykamy korkiem, w którym uprzednio zrobiony został otwór za pomocą rozpalonego szydełka lub niewielkiego dłutka.

Otrzymaną w ten sposób kolbę, przymocowujemy cienkim drutem do pierścienia lub grubszego jeszcze drutu, który przytwierdzony jest do zwykłego statywu. Szklaną rurkę można kupić w składzie aptecznym; poczem należy ją zgiąć w odpowiedni sposób. W tym celu na zaznaczonem miejscu rurki robimy, przy pomocy zmoczonego w wodzie pilnika, niewielkie, ale głębokie nacięcie. Potem, trzymając rurkę między wielkim i wskazującym palcem, ostrożnie próbujemy ją złamać. Jeśli jednak rurka nie pęka, to nacięcie można bardziej jeszcze pogłębić i wydłużyć. Aby módz zgiąć rurkę, nagrzewa się ją nad l a m p k ą spirytusową, lub płomieniem gazu, przyczem należy ją obracać na wszystkie strony, dopóki d a n e miejsce nie rozmięknie. Jeżeli teraz wzniesiemy jeden koniec rurki do góry, wówczas zegnie się ona, pod wpływem siły ciężkości. Płyny przepędzą się do probówki, zanurzonej w szklance z zimną wodą. Podczas przepędzania należy owijać szklaną rurkę kawałkami sukna, zmoczonemi w zimnej wodzie. Przy pomocy tego prostego, własnoręcznie urządzonego aparatu, można z łatwością destylować niewielkie ilości płynów.

Mierzenie wysokości lotu.

Z powodu zawodów lotniczych, które odbywały się w Aspern pod Wiedniem, ogłosił w jednym z dzienników wiedeńskich dr. Rudolf Schneider, adjunkt zakładu meteorelogicznego, zajmujące informacje o sposobach mierzenia wysokości, na którą wznosi sią balon lub samolot.

Wysokości te mierzyć można albo trygonometrycznie, albo barometrycznie. Metoda trygonometryczna, używana przy pomiarach wysokości chmur, wymaga dwu obserwatorów, ktorzy stoją w pewnem oddaleniu od siebie i za pomocą lunet, urządzonych do pomiarów kątowych, patrzą na przedmiot, którego wniesienie ma być obliczone. W oznaczonym momencie obaj obserwatowie mierzą równocześnie kąt, pod którym widzą obserwowany przedmiot. Z tych kątów i z oddalenia obu obserwatorów łatwo można obliczyć wysokość, na której znajdował się w pewnej chwili badany przedmiot.

Ta metoda daje wprawdzie ścisłe wyniki, jednakże podczas zawodów lotniczych, gdy jednocześnie kilka samolotów unosi się w powietrzu, zastosowanie jej byłoby połączone z wielkiemi trudnościami. Z tego powodu do mierzenia wysokości lotu samolotów używaną jest powszechnie metoda barometryczna.

Wiadomo, że ciśnienie powietrza, mierzone przez barometr, zmniejsza się w pewien określony sposób w miarę wznoszenia się w górę, a z tych danych, otrzymanych za pomocą barometru, można obliczyć każdorazowe wzniesienie się. Barometr, coprawda, z powodu swej kruchości, sprawia kłopoty podczas ruchu, ale w takich wypadkach można go zastąpić wytrzymalszym aneroidem.

Obecnie w powszechnem użyciu są aneroidy samopiszące, tak zwane barografy, w których wskazówka kreśli krzywiznę wysokości na pasku papieru, rozwijającego się za pomocą przyrządu zegarowego. W takie barografy, już wyrabiane w formacie kieszonkowym, zaopatrywane bywają samoloty.

Należy zauważyć, że aneroidu zaraz po nabyciu nie można używać do pomiaru wysokości.

Każdy aneroid i każdy barograf jest przyrządem względnej wartości i musi być porównywany dla kontroli z dobrym barometrem rtęciowym, zanim będzie używany do ścisłych pomiarów wysokości. W ten sposób stwierdzamy, czy skala ciśnienia powietrza jest dobra, czy też potrzeba poprawek przy odczytywaniu. Dalej daty aneroidu są zawisłe od temperatury mechanizmu, a także od szybkości, z jaką po sobie następują zmiany w ciśnieniu powietrza.

Z powodu wielkiego znaczenia, jakie mają barografy podczas wzlotów, jest rzeczą naturalną, że komisja lotnicza przywiązuje wielką wagę do ścisłego zbadania aneroidów, które mają być użyte. Przed rozpoczęciem wzlotów w Aspern już na kilka tygodni przed terminem, komisja lotnicza dała 20 barografów do zbadania wiedeńskiemu zakładowi meteorologji i geodynamiki.

Aparaty badane są w ten sposób, że umieszczamy je pod dzwonem i tam za pomocą pompy powietrznej wywołujemy rozmaite ciśnienia. Barometr rtęciowy, mający połączenie z dzwonem podaje wysokość, tj. siłę każdorazowego ciśnienia. Z tego można obliczyć za każdym razem wysokość wzniesienia się, odpowiadającą wysokości, czyli sile ciśnienia powietrza. Dane, pozyskane za pomocą barometru rtęciowego, porównywamy z danemi barografu pod dzwonem i wykonywamy ewentualne poprawki.

W praktyce to badanie jest skomplikowane, gdyż trzeba stwierdzić wpływ i stopień czułości każdego przyrządu. Zarówno każdy aneroid jak barograf wykazuje pewne elastyczne działanie następcze, jego dane pozostają nieco w tyle za rzeczywistemi wartościami, gdyż sprężyny nie dotrzymują ściśle kroku rzeczywistemu ciśnieniu. Ponieważ ta oporność barografu zależy zwykle od szybkości zmian w ciśnieniu powietrza, to znaczy wzbijania się na wysokość,—więc aparat należy zbadać kilka razy, a za każdym razem wywołać inne tempo ciśnienia powietrza. W ten sposób stwierdzamy, czy rozmaita szybkość zmian w ciśnieniu powietrza ma wpływ na aparat i jaką siłę ten wpływ wykazuje.

Jakie gorąco człowiek może znieść.

W Nowym-Jorku rozpoczęły się tak straszne upały, że ludzie w ciągu dnia kryją się przed gorącem w mieszkaniach i dopiero w nocy wychodzą odetchnąć świeższem powietrzem.

U nas dopiero się po zimnach ociepliło a już są tacy, co narzekają na gorąco i ze strachem myślą o spodziewanych upałach. Gdy upały nastaną, skarżyć się będą na nie, że „wytrzymać nie można".

A jednak człowiek znieść może bardzo wysoką temperaturę. Niedawno pisma angielskie doniosły, że dwaj badacze kazali się zamknąć w piecu, aby się przekonać, jakie gorąco zniosą. Otóż wytrzymali w piecu temperaturę 100° C, bez żadnej szkody dla zdrowia. Nie chciano w to uwierzyć, pomimo że już przed 150 laty stwierdzono, iż znieść można jeszcze wyższą temperaturę.

W r. 1764 Tillet zakomunikował paryskiej akademji nauk, że córka pewnego piekarza przesiedziała 12 minut w piecu w którym termometr spirytusowy wskazywał 128° C. Ten sam uczony był świadkiem, jak dwie dziewczyny, pracujące przy piecu do pieczenia chleba dla wojska, przebyły w piecu 10 minut w temperaturze 132° C.

W r. 1744 uczeni angielscy Banks, Solander, Dundas, lord Scaforth i jeszcze kilka osób przebyli 8 minut w pokoju o temperaturze 128°. Temperatura ich ciała w tym czasie podniosła się bardzo nieznacznie.

Arago zapewnia, że w r. 1828 w Paryżu człowiek pewien przebył 5 minut w piecu, w temperaturze 137°. Miał na sobie lekką bawełnianą bieliznę, następnie grube ubranie z czerwonej wełny, na podszewce z płótna lnianego i jeszcze na wierzchu płaszcz bawełniany, a na głowie kaptur z białej wełny z podszewką.

W r. 1828 pismo lekarskie „La Clinique" podało wiadomość, że niejaki Martinez wytrzymał 14 minut w piecu o temperaturze 170°. Puls jego podniósł się z 76 na 136. Potem przebył jeszcze 7 minut w temperaturze 152°. Był ubrany ciepło, głowę miał owiązaną wełnianą chustką. Po wyjściu wskoczył do zimnej wody.

De la Roche i Berger w początkach zeszłego stulecia robili doświadczenia w suchych, a gorących miejscowościach. Znosili tam najwyższą temperaturę, chroniąc swe ciało od promieni słonecznych lnianą odzieżą. Z początku znosili bezkarnie 87 do 90° w ciągu 8 minut; przy późniejszych próbach — 109°, ale bardzo się pocili, czuli nadzwyczajne palenie twarzy, a pulsu zliczyć nie mogli z powodu jego szybkości.

Daleko trudniej znieść można gorąco wilgotne, które już przy niższych stopniach jest nie do wytrzymania. Wprawdzie marszałek Marmont zapewnia, że widział Turka, kąpiącego się w wodzie gorącej o temperaturze 78° C. ale trudno temu wierzyć, gdyż wiadomo, że kąpiel w wodzie o temperaturze 45° jest niemożliwa i niebezpieczna.

Dobroczyńcy ludzkości.

Rozmaici bywają na świecie dobroczyńcy ludzkości. Jedni, jak np. miljoner amerykański, Carnegie, miljony swoje, ciężką pracą zdobyte, obracają na otwieranie uniwersytetów, muzeów i innych zakładów ogólnokształcących, inni życie całe poświęcają walce z gruźlicą i innemi klęskami, trapiącemi ludzkość, jeszcze inni wreszcie łamią sobie głowę nad wynalazkami w dziedzinie techniki.

Ameryka, która słynie z oryginalności, oryginalnych czasem miewa dobroczyńców ludzkości. Uczony amerykański, Humprey, wynalazł nową kulę... narkotyczną i przekonany jest, że wynalazkiem swoim wyświadczył nieocenioną usługę ludzkości. Zadaniem kuli tej, z którą amerykańskie władze wojskowe dokonywują obecnie doświadczeń, jest uwolnienie rannych i umierających żołnierzy od cierpień. Wynalazca umieszcza na bocznej stronie kuli w specjalnej rurce pewną dozę morfiny. Ran-

ni kulą taką zasypiają i w ten sposób uwolnieni zostają od cierpień, połączonych z przewożeniem do miejsc opatrunkowych oraz z ewentualną operacją. Ranni śmiertelnie umierają spokojnie i bez cierpień. Wynalazca jest zdania, że wynalazek ma bardzo doniosłe znaczenie i z tego także względu, że nawet lekko ranni zasypiają i walczyć już dalej nie mogą.

Gdy mowa o kulach, godzi się wspomnieć o nowym wynalazku w tej dziedzinie, dokonanym we Francji. Ostatnią nowością w dziedzinie pocisków była dotąd kula śpiczasta, która przebijała 40 desek grubości jednego cala, co równało się oporowi 40 ciał ludzkich. Czyli, że jedna kula tego rodzaju przebić była w stanie na wylot 40 żołnierzy, stojących jeden za drugim. Francuskim władzom wojskowym było jednak tego za mało. Robią one teraz doświadczenia z kulą t. zw. Derkos, która przebija stalowy jaszczyk artyleryjski, stalową pochwę granatu, znajdującego się w jaszczyku i wywołuje wybuch w granacie. Innemi słowy, przed kulą tą nie uchronią żadne dotychczas używane zasłony, jak wały ziemne, worki z ziemią i t. p. W tych warunkach wynalazek uczonego amerykańskiego nabiera istotnie cech dobroczynności.

Ludzie silą się, jak widzimy, na wynajdywanie coraz to straszniejszych narzędzi śmierci. Jedni wynajdują kule, dla których nie istnieją żadne prawie przeszkody, inni, wiedzeni uczuciem ludzkości, morfinizują owe śmiercionośne pociski. Ale w takim razie może lepiej byłoby nie prowadzić wcale wojny. Możnaby np. za stronę pobitą uznać tę, która rozporządza mniejszymi zapasami morfiny...

Robaczek świętojański.

Fabre, zajmujący się światem zwierzęcym, dał w „Annales" opis życia t. zw. robaczka świętojańskiego, znanego ogólnie wskutek narządu jarzącego, oświetlającego kadłub samiczki. Fabre zbadał ze zwykłą sobie sumiennością i cierpliwością zwyczaje tego owadu. Zauważył, jak pilnie on polował i jak sobą rzucał na małego ślimaka. Co jest ciekawe, to, że znieczulał swoją ofiarę, zanim się zabrał do jej spożycia. Zbliżał się do niej, wysuwał dwie szczęki zaopatrzone w wązki kanalik i kłuł mięczaka zawzięcie. Po czterech do pięciu ukłuciach, ślimak jest znieczulony i pozostaje w tym stanie dwa do trzech dni, a przez ten czas robaczek się nim napawa, niezjadając go istotnie, lecz wysysając płyn wytworzony wskutek przetrawienia tkanek ślimaka pod wpływem soku, wydzielonego przez owad. To znieczulanie i to przetrawianie zewnętrzne, dosyć częste w świecie owadów, stanowią rzeczywiście mechanizm zdumiewający.

Z bawełny.

W ostatnich czasach w Luizjanie zaczęli Amerykanie budować domy z bawełny. Z bawełny, którą się posługują sporządza się masę i ujmuje się ją w blachy, połączone żelaznem wiązaniem. Robi się to bardzo prędko a koszt jest niewielki.

W Texas, niejaki M. G. Fraps wyrabia z bawełny chleb zawiera tyle proteiny i tłuszczu, że doskonale może zastąpić mięso. Funt bawełnianego chleba odpowiada w przybliżeniu dwum funtom mięsa.

Bardzo to jest wygodne, pomysłowe i tanie. W dniach głodu nie będą mieli amerykanie kłopotu. Zaczną rozbierać ściany domów i robić z nich chleb a gdyby i ścian wreszcie zabrakło, pozjadają swoje surduty, spodnie i koszule.

Krajanie metali pod wodą było dotychczas połączone z wielkiemi trudnościami i kosztami, gdyż wszystkie do tego celu używane narzędzia wykonywały swe zadanie nie ekonomicznie. Prócz młotka i zwykłego dłuta, używanych przez nurków do pracy pod wodą, zastosowano do tego celu w ostatnich czasach, wprowadzone w ruch zapomocą sprężonego powietrza dłuta i napędzane z ponad powierzchni wody piły tarczowe. Dzięki dłutu pneumatycznemu, można prawie zawsze osiągnąć pożądany cel, gdy tymczasem piła tarczowa daje się zastosować tylko w pewnych odpowiednich wypadkach.

Obecnie chemiczne zakłady „Elektron" wpadły na myśl zastosowania pod wodą metody krajania i spajania metali zapomocą płomienia tleno-wodorowego, używanej już z dobrym wynikiem na powietrzu. Palenie się płomienia pod wodą zostało osiągnięte przez przyśrubowanie opatentowanej, wydrążonej głowicy, umieszczonej na zwykłym palniku i przyprowadzenia sprężonego powietrza do płomienia. Sposób ten jest obecnie podobno już tak udoskonalony, że krajanie metali pod wodą odbywa się równie szybko, jak i na powietrzu.

Okręty o falistej powierzchni kadłuba, których już pięć pływa po morzach, a dwa znajdują się w budowie: jeden w Anglii a drugi w Norwegii, są pomysłu szwedzkiego inż. Erikssona.

Pomysł ten polega na nadaniu bocznym ścianom okrętu pod linią wodną dwu wypukłości z każdej strony, jakoby dwu fal, biegnących równolegle wzdłuż okrętu i stopniowo malejących ku przodowi i tułowi, tak, iż u końców statek posiada kształt zwykły.

Według Erikssona statek podobnej budowy powinien posiadać wiekszą wytrzymałość i spokojniejszy bieg na morzu, oraz zużywać mniej paliwa, niż inne, równe szybkości i wielkości statku zwykłego kształtu, gdyż wspomniane bruzdy działają poniekąd jako rury, skierowując wodę na śrubę i dając jej przez to silniejsze oparcie.

Jakoż według świadectwa kapitana Mac Ilwainea, który odbył kilka jazd próbnych na statku „Hyltonia", zbudowanym według systemu Erikssona, rzeczywiście statek ten wykazał większą stateczność, znacznie mniejsze drgania, oraz znaczną oszczędność paliwa.

Mac Ilwaine przewiduje, że pomysł Erikssona odegra ważną rolę w budowie statków wo-

jennych, zwłaszcza torpedowców i łodzi podwodnych, które w ten sposób osiągną spokojniejszy bieg przy wzburzonem morzu i większą odporność przeciw pociskom i ewentualnym zderzeniom.

Wzrost ludności we Francji.

Ostatnie zestawienia statystycznd są dla Francji bądź co bądź pocieszające. Widmo wyludnienia jak gdyby znika. Liczba urodzin zwiększyła się nieznacznie coprawda, z 742000 w roku 1911 do 745000 w roku 1912. Natomiast bardzo znacznie spadła liczba zgonów: w roku 1911 wynosiła ona 777000, w roku zaś 1912 tylko 690000. Jeżeżestawimy liczbę urodzin i zgonów (745000 — 690000) otrzymamy nadwyżkę — 55000 — bardzo nawet znaczną, jeżeli się weźmie pod uwagę, że dotychczas liczba urodzin była we Francji niższa od liczby zgonów.

Z historji kokluszu.

Według oświadczenia Rouse'a, złożonego w paryskiej akademji umiejętności, sądzićby można, iż został nareszcie wynaleziony środek, zwalczający chorobę, z którą Europa ma już do czynienia od lat 335.

Jak wiele innych chorób zjawił się też pewnego razu i koklusz. Nikt nie wiedział skąd przyszła owa choroba, dano więc jej nową nazwę i w ciągu lat 335 myślano jakby urwać łeb nowej hydrze, trapiącej ludzkość.

Było to późną już jesienią w roku 1578, gdy w Paryżu dzieci nagle poczęły strasznie zanosić się od kaszlu. Lekarze stanęli wobec zagadki. Ponieważ ataki kaszlu powtarzały się regularnie co pięć godzin, lekarze dali kokluszowi nazwę: *Testis quintana*. Poza tem nic zdziałać nie mogli, jak tylko obserwować pilnie objawy nieznanej choroby. Uczeni stwierdzili tylko, iż choroba ta nigdy w starożytności nie była znana.

Pierwsza epidemja kokluszu zwolna słabła, aż zginęła zupełnie i dużo upłynęło czasu zanim lekarzom znów dała znać o sobie

Koklusz pojawił się znowu w 80 lat później, w r. 1658-ym, tym razem w Londynie. Stamtąd koklusz przerzucał się to tu, to ówdzie, w formie mniejszych lub większych epidemji, aż wreszcie w XIX wieku niebezpieczna ta choroba zaklimatyzowała się we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej i do dnia dzisiejszego nie straciła nigdzie prawa obywatelstwa.

Przebieg tej choroby, bardzo dziś pospolitej, jest już dobrze znany. Osobista obserwacja włożyła w usta ludu następujące określenie kokluszu: „Cztery tygodnie przychodzi, cztery tygodnie trwa i cztery tygodnie odchodzi".

Sposób jej zwalczania też już dziś nie stanowi tajemnicy. Pierwszym lekarzem, który skutecznie zwalczał tę chorobę przy pomocy wynalezionego przez siebie serum antykokluszowego, był d-r Maragliano z Genui. Środek jednak, wynaleziony przezeń, nie zadowolnił jeszcze badaczy. Zdaje się, że dopiero teraz dwaj lekarze francuscy, o których wspomniał w akademji Rouse, wynaleźli serum, które przyczyni się do zupełnego zapanowania nad dolegliwością, jaką stanowi koklusz.

Pogoda na 20 z góry lat!

Astronom francuski Abbé Moreaux, na podstawie spostrzeżeń atmosferycznych oraz obserwacji słońca i plam jego, przepowiada, że mokre i chłodne lata, jakie świat trapią oddawna, już się kończą i że aż do roku 1935, czyli przez 22 lata—pora letnia odznaczać się będzie pięknem i umiarkowanem powietrzem.

Opady deszczowe, które tak długo psuły nam wywczasy letnie, a rolników doprowadzały rozpaczy, będą coraz słabsze, aż powrócą do normalnych granic. Powietrze zatrzyma tylko mały procent wilgoci, co wszystko razem przyniesie dobre nrodzaje.

Wprawdzie Abbé Moreaux ostrzega, że początkowi owego okresu ciepła i względnej suszy, trwarzyszyć będą pojedyńcze katastrofy przyrody, jak trzęsienie ziemi, burze magnetyczne, wybuchy gazów podziemych i t. d., które od czasu do czasu okazywać się będą do roku 1919.

Abbé Moreaux twierdzi, że małe niespodzianki nie powinny nam psuć radości z zapewnionej na ćwierć blizko wieku pogody, a w zapewnienie to każe nam wierzyć mocno.

Bodaj, że lepiej—nie wierzyć. Nie spotka nas przynajmniej zawód a pogodne lata będą bardzo miłą niespodzianką.

Długość życia ludzkiego.

Według najnowszych danych statystycznych, średni wiek ludzi w krajach europejskich jest następujący: Szwecja i Norwegja 50, Danja 48, Irlandja 48, Anglja i Szkocja 45, Belgja 45, Szwajcarja 42, Holandja 44, Rosja 43, Francja 43, Prusy 39, Włochy 39. Portugalja 36, Rumunja 36, Grecja 35, Austrja 34, Bułgarja 33, Turcja 33, Hiszpanja 32.

SPROSTOWANIE.

W № 26 naszego pisma, w artykule p. Turskiego, „O samojazdach na usługach rolnictwa", mylnie wydrukowano, że pokaz samojazdów rolniczych syndykatu rolniczego i p. Humnickiego, odbył się w Wołominie, zamiast w *Wilanowie*.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

22)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

Nie ma się co wahać.

Surowe rygory cnoty rycerskiej obowiązują młodych podporuczników, poruczników, kapitanów, co najwyżej... ha, ha, ha!.. Feldmarszałkowi austrjackiemu wolno być dyplomatą. Wolno kłamać.

Książę przygryzł wargi.

— Nieprawda, zaczął po chwili, w rzeczywistości owa, jak powiadasz cała armja rosyjska redukuje się do trzydziestotysięcznej awangardy i to jak wiesz, w nienajlepszym stanie. Wojska Miłorodowicza, Doktorowa i Sackena, w sile, co najwyżej jak rzekłem trzydziestu tysięcy, są wyczerpane, sforsowane pościgiem, osłabione długiemi marszami i doprawdy nie zdołałyby przełamać twego korpusu wypoczętego, wspartego nadto przez osiemnaście tysięcy moich nowych zaciągów.

— Tak, przerwał tamten ale, za Miłoro dowicza Doktorowem i Sackenem, ciągną Wintzingerode, Tormasow, Kutuzow, wreszcie sam cesarz Aleksander...

— Ależ mamy czas... W Galicji i Wielkopolsce potrafią wykrzesać jeszcze kilkadziesiąt tysięcy doskonałego żołnierza. Możemy opierać się skutecznie, choćby do lata. Tymczasem Napoleon...

Feldmarszałek uśmiechnął się ironicznie.

— To, to... — bąknął pod nosem.

— Co to ma znaczyć?

— Ach, nie, — odparł z udanem lekceważeniem — gadamy ze sobą, przyznasz Pepi, zbyt oficjalnie. Każ mi dać fajkę i kawy, pogawędzimy swobodniej...

Książę klasnął w ręce.

Przyniesiono kawę i fajki.

Zasiedli przy małym stoliku. Otoczyły ich kłęby sinawych dymków.

Schwarzenberg wyciągnąwszy się wygodnie w fotelu pragnął widocznie zmienić panujący dotąd między nimi nastrój.

Rzucił niedbale:

— Co mi tam Napoleon!..

A potem, jakby z miękką rzewnością, dodał:

— Mów mi, Pepi, o sobie. Miło jest wobec zbliżającej się pięćdziesiątki, wznowić wspomnienia lat młodzieńczych...

Klepnął księcia poufale w kolano.

— Czy wiesz Pepi — ciągnął — jak ja doskonale pamiętam cię jeszcze jako porucznika drugiego regimentu kirasjerów. Było to w Czechach w roku... czekaj...

Książę jednak nie dał wciągnąć się w ową jakoby serdeczną pogawędkę przyjacielską i pragnął wrócić do tematu.

Czuł on grom odpowiedzialności jaką wkłada na niego stanowisko. Był pierwszym mężem w Polsce. Losy kraju miał w swoich rękach. Czyż mógł pozwolić sobie w tej tak ważnej, tak krytycznej chwili na sentymentalne wspomnienia. Zresztą rozumiał doskonale podwójną grę Schwarzenberga. Rozumiał, że przyjmuje on umyślnie pozory poufałej przyjacielskości, ażeby tem łatwiej, tem bezpieczniej wedrzeć się do jego zaufania i mówić o rzeczach niebezpiecznych.

Niewątpliwie głównym celem wizyty feldmarszałka „Pod blachą" był zamiar odciągnięcia Polaków od sprawy napoleońskiej. Ostatecznie o zamiarze odstąpienia od obrony Księstwa, mógł dowódca korpusu naczelnemu wodzowi wojsk polskich zakomunikować raportem oficjalnym z obozu w Pułtusku. Jeżeli osobiście fatygował się do Warszawy, to dla tego jedynie, że układał dalej idące plany swej akcji dyplomatycznej. Wyobrażał sobie chytry Niemiec, że ten rycerski, zawsze tak miękki i wytworny w sto-

sunkach towarzyskich książę Poniatowski nie uchybi prawom gościnności i przyjmując u siebie w domu dawnego przyjaciela, pozwoli mu mówić bez wszelkich nieprzyjemnych następstw o sprawach najbardziej nawet drażliwych.

Spodziewał się pan feldmarszałek tą drogą wysondować Poniatowskiego do gruntu i ewentualnie wyciągnąć z rozmowy odpowiednie konsekwencje.

Istotnie też sytuacja ta dla gospodarza była w najwyższym stopniu uciążliwa. Nie chciał być w domu swoim dla gościa niegrzeczny, nie chciał obrazić go u siebie, a cisnęły mu się na usta słowa przykre, obelżywe, słowa, których człowiekowi honoru, szlachcicowi oficerowi bezkarnie słuchać nie wolno. Poprostu kilkakrotnie chciał mu już rzucić w twarz kłamstwo i zdradę.

Hamował się jednak całą siłą woli. Zagryzał wargi, lub zapadał w długie momenty milczenia. Ot i teraz, milczenie przedłużało się nad miarę. Przejęło to nawet chłodem pana feldmarszałka, który, zacząwszy z wielkim ożywieniem historję jakiejś Katinki z Pragi Czeskiej, nagle urwał i tylko coraz obficiej pykał fajkę, dymiąc jak komin.

Zamarła konwersacja całkowicie.

Słychać było cykanie zegara w gdańskiej szafce i brzęk porcelanowej filiżanki, o którą, gość mieszając kawę, uderzał dość gwałtownie złotą łyżeczką.

Był widocznie zniecierpliwiony i tem snadź chciał przypomnić gospodarzowi obowiązki grzeczności.

W milczeniu podrażnienie nerwowe dochodziło do najwyższego naprężenia.

Wreszcie książę Józef przerwał je. Głosem zmienionym, jakgdyby wydobywającym się przez ściśnione gardło, wyrzekł.

— Mówiłeś, że cię nie obchodzi Napoleon... a przecież mu służysz.

— Nieprawda. Służę Franciszkowi II, cesarzowi austrjackiemu.

— Ale cesarz austrjacki jest sprzymierzeńcem Napoleona.

— Ach ciągle ten Napoleon! Dajżeż mi pokój! Sprzymierzeńcy mogą jutro stanąć jako wrogowie. Co mnie to obchodzi. Pierwsze stopnie i odznaczenia zdobyłem w wojnach z rzeczpospolitą Francuską, — której przewodził ten sam Napoleon Bonaparte — dziś staję po jego stronie — co jutro przyniesie? — Nie wiem. Ja słucham rozkazów z Wiednia.

— Więc rozkaz z Wiednia?

— Najformalniejszy.

— Ach tak?

— A tak...

— I nie czujesz, że Wiedeń prowadzi tu grę podwójną?

— A co mnie to obchodzi! Spełniam swój obowiązek jako komendant korpusu.

— I dwuznaczną misję dyplomatyczną dodał książę.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że książę Schwarzenberg, potomek starożytnego rodu frakońskiego dał się użyć do roboty... której... no...

— Mości, książę, przerwał z afektacją feldmarszałek, niech książę Poniatowski nie uczy, co winien swojemu starożytnemu rodowi książę Schwarzenberg. Nie jestem Polakiem, ażebym się miał poczuwać do obowiązku szaleństwa. Ustępuję wobec przemagających sił rosyjskich i jestem jako feldmarszałek austrjacki w porządku.

(d. c. n.)



MARJAN ORLICZ

2)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

— Sądzicie? Ot, w czem zasadnicza pomyłka. Pomijając już pytanie, kto człowiekowi dał prawo zabijać drugiego człowieka za to, że tamten zabijał, pozostaje jeszcze ta kwestja, że to w niczem na ukrócenie zła nie wpłynie. Przeciwnie, zapach krwi budzi zwierzę ludzkie. Nie wiecie może, że po egzekucji „apasze“ gromadą rozryli ziemię, ażeby chustki w świeżej krwi zmoczyć.

A potem, ten zbrodniarz: słyszeliście jaki on przedziwny spokój wykazał wobec blizkiej śmierci, jaką wzniosłą pogardę życia? A ten jego giest, przedśmiertelny, któregoby się najsubtelniejszy inteligent nie powstydził: „Umieram — pisał do żony, którą podobno ubóstwiał — z listkiem, coś mi przyniosła na ustach".

— Ależ to kompletna poezja, — ironizował Skalski.

— Tak, poezja. I gdyby społeczeństwo odkopać potrafiło skarby, co się na dnie takiej sponiewieranej duszy ludzkiej mieszczą, kto wie? może byłoby mniej jednego zbrodniarza, a więcej o jedną wielką wolę...

Skalski roześmiał się drwiąco.

— A to z was utopista. Pierwszej wody... Zresztą cóż to nas artystów obchodzić może? W każdym razie takiego osobnika obezwładnić trzeba, conajmniej, jak radzi Sue, pozbawić wzroku.

— Oo? to artystę podług was interesować nie może? Nie wiedziałem, że stworzono odrębną etykę „ad usum" artystów.

Prawdziwie, tacy jak wy gotowiby chętnie wskrzesić czasy Torquemady.

— A tacy jak wy — czasy Bardów i Minnesängerów.

— Lepszeć to w każdym razie, niż takie inkwizytorskie „zabić!" Czyście wy się wmyślili w kaźń takiej przedśmiertnej nocy skazańca.

Toż to nie jedna, a tysiąc śmierci.

— Znać, żeście niedawno czytali „Le dernier jour d'un Condamné". Więc ja z kolei zrobię wam literaturę: przypomnę zdanie Alfonsa Karr w kwestji zniesienia kary śmierci: „que messieurs les assasins commencent". Niech przestaną zabijać, a wtedy...

Żarski żachnął się niecierpliwie.

— Wiecie, moi drodzy, że od was wprost zalatuje Montfoucon'em*) Eh, za daleko by nas ta sprzeczka zaprowadziła, to tylko wam powiem, że wasz zegarek znacznie się opóźnia, znać to nawet w waszych pracach...

Skalski rzucił mu straszne spojrzenie, odwrócił się i odszedł prędko, nie podając ręki.

Żarski postał jeszcze chwilę na miejscu. Nie wiedział co ze sobą począć.

*) Niegdyś miejsce kaźni, dziś dzielnica „La Villete".

Ha, powłóczę się po Montmartrze, pomyślał i wrócę do domu.

Był bardzo niekontent z siebie: skąd mu się wzięło dzisiejsze usposobienie? Dotąd nie poróżnił się jeszcze z nikim. Wypowiedział ot kupę komunałów, które przed nim inni już lepiej wypowiedzieli, tamtego nie przekonał, a tylko sobie stworzył nieprzyjaciela. A Skalski zdaje się — zawzięta sztuka.

II.

Zatracił zupełnie rachubę czasu. Dopiero, wchodząc na zewnętrzne bulwary, kiedy ostre zapachy acetylenu i benzyny buchnęły mu naprzeciw, a jaskrawa orgja różnorodnych świateł uderzyła w oczy, zdał sobie sprawę, że wkroczył w samo serce dorocznej „foire"

Od wożących się na złotych świniach „midinettes" biegła ogłuszająca fala wrzawy śmiechu i pisków, przy akompanjamencie rozmaitego dzwonienia, turkotu zjeżdżających po „montagnes russes" sani, skrzypu szalonych huśtawek.

Całe to sztuczne ożywienie, jakgdyby z tych drewnianach koni, złoconych gondoli, warjackich karuzeli opadły wszystkie troski życia, rozstrajało mu do reszty i tak już rozigrane nerwy.

A na dobitkę, wszędzie w koło pary w radosnym zapamiętaniu, okiem tonące w oku, ramię przy ramieniu, często usta przy ustach. Czy to miłość, czy tylko pozór miłości, rzuca ich sobie w objęcia?

Jeśli nawet tylko pozór, toż i to już szczęście... Uczucie tem większego osamotnienia, im większym był tłum, ten tłum paryski, rozbawiony, wrzaskliwy, tłoczyło mu duszę.

Postanowił zawrócić do domu.

Z trudnością przepychał się przez ciżbę.

— Dobry wieczór, panie Zdzisławie. No i godzi się tak zapominać przyjaciół?

Przed nim stał znacznej już sławy malarz Cressauger z żoną.

Żarski serdecznie uścisnął im dłonie; rad był niezmiernie spotkać znajome twarze, tymbardziej, że lubił tę ekscentryczną parę: jego charakterystyczną głowę w wieku nieokreślonym, tak coś między czterdziestym a sześćdziesiątym rokiem, jej kończącą się już, ale niezwykłą urodę matowo—białej, ru-

dawej szatynki, o zmysłowych ponsowych wargach i oczach tak jasnych. że te niespokojne i niepokojące oczy krótkowidza wydawały się jaśniejsze od twarzy. Polka z urodzenia, od lat ośmnastu przy mężu francuzie, zupełnie zapomniała mówić po polsku a kaleczenie i przekręcanie wyrazów, wstrętne w innych ustach, u niej było jednym więcej wdziękiem.

— Czy wie pan, że pan u nas już nie był dwa lata?

— Czyż dwa lata?

— Naturalnie. Od czasu, jakeśmy zmuszeni byli opuścić naszą piękną pracownię na „Avenue de Filleuls" porzuciło nas wielu i pan z innymi. Wogóle, wie pan, zdaje mi się, że jak to bywa tu u nas w Paryżu, George zaczyna wychodzić z mody.

Żarski tłómaczył się jak mógł, a tymczasem przy blasku kłócących się ze sobą świateł kiermaszu, zauważył z przykrem zdziwieniem, że o ile Cressanger nic a nic się nie posunął, w niej zaszła przerażająca wprost zmiana.

Strach pomyśleć, żeby takie dwa lata mogły zrobić tego rodzaju spustoszenia: zręczna figura rozlała się w ciężką masę, a blade zawsze oczy, zupełnie już zblakły.

Zmieniona wprost do niepoznania.

— Otrzyma pan rozgrzeszenie, jeżeli pan solennie przyrzecze odwiedzić nas nie dalej jak jutro, powiedziała pani Cressauger z miłym dawnych lat uśmiechem.

— A państwo dokąd dążycie?

— Do kabaretu „La Cloche" Chodź pan z nami.

— I owszem.

Kabaret był o kilkadziesiąt kroków.

Wejście ich zrobiło sensację: biała, mocno przybrukana bluzka pani Cressauger, niedopięta z tyłu, jej zakopcony wiecznie od bezustannego palenia papierosów nos, przy kredowo-białej od pudru twarzy, cudacki kapelusz, okropnie żenowały Żarskiego.

Rad był jaknajprędzej znaleźć miejsce, tymbardziej, że zdaleka spostrzegł Rastlera.

— No ten mię urządzi, pomyślał.

Ów tymczasem ze swoim zwykłym „sans gêne" począł mu dawać znaki, żeby się zbliżył.

Przeprosił na chwilę Cressaugerów i podszedł do stolika, przy którym Rastler, jak zawsze o tej godzinie, mocno „wstawiony siedział z dwoma jeszcze równie, jak on „zmartwionymi".

— Dziki z was człowiek, widzicie, że jestem w towarzystwie i odwołujecie mię.

— E, co tam wasze towarzystwo. Chciałem właśnie skorzystać z rzadkiej okazji, że się zebrali razem i pokazać wam z tuzin kochanków waszego towarzystwa.

— Co to znaczy z tuzin?

— No, jak mówię.

— To tak, jakbyście chcieli powiedzieć: po kilku na raz...

— Różnie tam bywało ongi, kiedy urhoda i wdzięk dopisywały. Cuda poprhostu opowiadają o tym wdzięku: o tych ustach, naprhaszających się wprhost pocałunków, o tych bajecznych oczach najady.

Ot, spójrzcie tam na tę grhupę przy kominku. Ten tu na lewo, co tak żywo giestykuluje, ponurhy, twórhca nowoczesnego Pierhota, ten to był podobno w łaskach przez okrhągły miesiąc. A oto przy pianinie ten wysoki, co przed chwilą z takim przejęciem wykrzykiwał swoje „Pieśni Newrhozy" już nie tak długo popasał, zastąpił go przyjaciel, którhego wprhowadził. I tak szło kolejką, o ile nie jednocześnie. O, naiwna dziecino! jak można znać Cressaugerhów, a nie znać ich historhji.

—Bywałem tam dosyć często, alem nic takiego nie zauważył. Dom co prawda dziwny, ale ona chociaż fantastyczka, jednakże zupełnie poprawna w sposobie bycia, a gościnna, jak nie znam drugiej.

— Aż do ofiarhowania gościom samej siebie.

— E, Rastler, dobry z was chłopak, ale strasznie niesmaczny język.

— Więc wam jeszcze powiem, że jeśliście nie doznali tego rhodzaju gościnności, to albo was miała za zdecydowanego ciemięgę, albo dla was żywiła jakiś nadzwyczajny szacunek. A zrhesztą kiedyś tam bywali? jak już z konieczności została wierhną małżonką, jak już ani rhączką ani nóżką." Czekajcie wyjdziemy rhazem, to wam opowiem ciekawe szczegóły.

— Tymczasem muszę wrócić do nich, odparł Żarski, widząc jak oczy pani Cressauger błądzą niespokojnie po sali.

Nie tęgo usposobiony siadł na swoim miejscu zaraz też usłużny garson zaofiarował „cousommation," parę suchotniczych wisienek w alkoholu. Pani Cressauger, wyjmując właściwym sobie giestem dwoma

palcami z ust niedopałek oślinionego papierosa bez munsztuka, podniosła na niego swoje blade oczy.

— Cóż łen obskurny plotkarz miał panu do powiedzenia?

— Nic ważnego.

— Jeśli nie ubrał tam kilku krhetynów, to napewno próbował pana naciągnąć. Boć to zawodowy „tapeur", tylko że nie na fortepianie, a na kieszeni bliźniego. Ten wstrętny żydziuch na nikim suchej nitki nie zostawi. Ja go zupełnie nie znam, a powiedziano mi, że się mną mocno zajmuje.

— Mais cocotte cherie, wtrącił ze swą wieczną flegmą Cressauger, czy to warto się denerwować. Nie mogąc w inny sposób, on w ten pozuje na oryginalność, że krytykuje wszystkich i wszystko.

— Racja, że nie warto. Georges une cigarette.

Żarski z zajęciem odwrócił głowę za osobnikiem, który przechodząc ukłonił się przyjaźnie. (d. c. n.)

J. GRABOWIECKI.

JAK W ŻYCIU...

NOWELA.

Pan Józef nie miał szczęścia.

Jak ów Baudelaire'owski nieszczęśliwiec miał wypisane na czole: pas de chance — i każdy kto nań spojrzał, czytał; a który był przenikliwszy i wspomniał, że to właśnie pora, gdy na polach Mokotowskich trenują i doppingują różne całej i pół krwi wiatronogi, a dojrzał z kieszeni nieprzezornie wywysunięty rożek czerwonego arkusza,— wiedział, że pan Józef nie miał szczęścia na wyścigach.

I tak było w istocie.

Zresztą ta skulona, wyszarzała postać nie mogła mieć szczęścia. Gdy się tak chyłkiem wyślizgnęła z domu i przesuwała pod murami kamienic, jakby ze wstydu przed jasnem południem, nieszczęście zdawalo się być jej cechą swoistą.

Że się postać pana Józefa wstydziła, robiła słusznie!

„Taki kolejarczyk", jak go nazywała pogardliwie żona, „młodszy pomocnik referenta wydziału N kolei państwowych", jak się zwał sam, jednem słowem, on, pan Józef, grał w totalizatora! I to była jego cięższka wina Ale nietylko grał — najczęściej przegrywał. I to była jego cięższa wina; tak ciężka, że jej to zawdzięczał hańbiące imiona: „zakały i wstydu rodziny", „człowieka bez czci i wiary", „niegodziwego męża", „występnego ojca".

Ta jego zgubna namiętność doprowadzała panią Józefową co jesieni i co wiosny do stanowczych rozmyślań o konieczności rozwodu. Nadchodziły inne pory roku i zamiary pani Józefowej ulegały jeśli nie zmianie, to przynajmniej odroczeniu do następnych wyścigów.

Pan Józef odczuwał boleśnie swą nędzę moralną — gardził sobą i nawet wątpił o zbawieniu duszy, był bowiem człowiekiem religijnym i czuł, że sprawiedliwość Boża dosięgnąć go musi. Raz nawet, gdy na ustach miał konie, galopy, gdy mu w głowie huczały setne, a niezawodne kombinacje, choć tym razem wiedział napewno, że wygra, — zdobył się sam, z własnej woli na czyn bohaterski: na dwa dni przed pierwszym dał na mszę z intencją, by mu „odmieniło". Ze skruchą i pobożnem pragnieniem czekał łaski Bożej, ale łaska nie przyszła, pan Józef pensję odebrał i przegrał co do kopiejki.

Odtąd stracił nadzieję, nie czekał zmiłowania i nawet nie próbował się oprzeć przeznaczeniu. Z całą bezwstydną świadomością grzeszył. Bez jednego słowa obrony przyjmował słuszne wyrzuty małżonki, spuszczał głowę pokornie i słuchał.

„Trzeba być niegodziwcem, człowiekiem bez czci..."

Wstęp bywał zawsze jednakowy i gdy pani Józefowa w ferworze pomyliła się kiedy, pan Józef poprawiał ją — w myśli, oczywiście.

Potem następowały warjacje na temat introdukcji, o sile wyrazu, ekspresji, barwie i tempie, zależnem od wysokości przegranej sumy, stanu garderoby, zasobów spiżarni i wielu innych okoliczności. Wreszcie finale znów nieodmiennie jednakie:

— Zgubiłeś mnie, tu głos pani Józefowej załamywał się, nie gubże własnych

dzieci! — łkanie przerywało jej mowę, biegła ująć w ramiona najmłodszą pociechę, gdy tymczasem starsza, Staś 10-o letni, z nad książki zapomnianej, biorący żywy udział w akcji, otwierał buzię i tarł oczy piąstką. Wreszcie łkanie umilkło, ostatnie ciężkie westchnienie winowajcy i cisza zalegała grobowa.

Wtedy było wszystko w porządku. Pan Józef czuł się spokojny, o ile mógł być spokojny, nazajutrz szedł do biura, a w najbliższą niedzielę na wyścigi.

Aliści ostatnim razem stało się coś niezwykłego.

Pani Józefowa nie miała kapelusza, Stasia wpis był nieopłacony, a pan Józef przegrał i wpis i kapelusz. Wina była bardzo ciężka, cięższa niż zazwyczaj; więc z pewnym niepokojem wsunął się do mieszkania. Czarna postać podniosła się z klęczek.

— Przegrałeś?

— To jest... niby... — zaczął niepewnym głosem.

— Przegrałeś!.. Ja pomsty Bożej na siebie wzywać nie będę, bo ja... umrę niedługo... ale dla tych dzieci... słuchaj... dla nich przysięgnij!...

Pan Józef patrzył i nic nie rozumiał.

— Przysięgnij!.. na zbawienie duszy... na rany Chrystusowe...

Pan Józef podniósł bezwiednie dwa palce do góry i przysiągł.

Na tem się skończyło.

Pana Józefa ogarnęło wówczas wielkie wzruszenie — ta jego żona, mająca umrzeć niedługo, wydała mu się aniołem, a słodycz i spokój obejścia utwierdziły go w tem przekonaniu.

Uczuł wielką ulgę. Przeszłość wydała mu się zamierzchłą, przyszłość jasną i odrodzoną.

Na nowy kapelusz i na wpis dla Stasia wystarał się o pożyczkę i właśnie niósł ją do domu.

Złośliwe fatum zdarzyło, że był to dzień wyścigów.

Pan Józef przesuwał się chyłkiem, jak złoczyńca, pod murami, czasem ręką sprawdzał, czy pugilares na miejscu, spieszył zgarbiony, starając się nie patrzeć na przepełnione tramwaje, na sznur nieprzerwany dorożek i powozów. Chłopca, który mu zawsze sprzedawał programy, odtrącił i syknął: „poszedł precz, bydle“, aż chłopiec zdziwiony przystanął i język mu pokazał.

— Szósty dzień wyścigów — Cesarska i Oaks!! —

W pana Józefa, jakby grom uderzył.

— Więc to dziś Oaks! — Odrodzony pan Józef nie pamiętał. Głos ulicznego kolportera przypomniał mu ów dzień upragniony, który miał zrehabilitować go w oczach małżonki i świata. Przez niezbite wyliczenia, przez zastosowanie teorji prawdopodobieństwa, po mozolnych poszukiwaniach w genealogjach rodziców i dziadków współubiegających się klaczy, po rozpatrzeniu kronik ich biegów, — doszedł pan Józef do nieugiętego przekonania, że zwyciężyć może w Oaksie tylko Fanny po Sac à Papier i Lady Fault. A że ogólnie uważano Fanny za najmniej szans mającą, zatem dziś miał pan Józef zdobyć majątek, rzucić go na stół przed zdumioną żoną, a u przyjaciół zyskać podziw i uznanie.

(d. n.)

Z CYKLU: „KANIKUŁA“.

II.

Kojące płyną zapachy i tony
i żywy balsam w głąb mej piersi ronią,
pieszczę się sadu melodją i wonią,
szumią mi drzewa, wzdychają zagony.

I chciałbym chciwą, osłabioną dłonią
wstrzymać symfonji tej czar niezmierzony
i wchłonąć wszystkie jej wonie i tony,
zanim dnie szare zgłuszą je i zgonią.

Bo oto widzę, jak czerni się wdali
chmura niewielka i niegroźna jeszcze,
lecz gdy jej słońce swym ogniem nie spali,

jak potwór cielskiem błękity zawali,
zawyją wichry ponure, złowieszcze,
nastanie ciemność, zaszlochają deszcze.

Remigjusz Kwiatkowski.



MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

Rinconete i Cortadillo.

Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław Milner.

W gospodzie zwanej *del Molinillo*, która znajduje się na kresach słynnych pól Alcudji, na drodze prowadzącej z Kastylji do Andaluzji, pewnego ciepłego dnia letniego, spotkali się dwaj chłopcy, z których jeden mógł mieć lat czternaście lub piętnaście, drugi zaś liczył niewięcej nad siedmnaście. Byli obaj pełni animuszu, obaj niesforni, oberwani i wynędzniali: płaszczów nie mieli wcale, nosili płócienne szarawary, a własna skóra służyła im za pończochy. Przyznać trzeba, że zaopatrzeni byli w obuwie, które stokrotnie wynagradzało te braki, gdyż jeden z nich miał na nogach trepki jednako znoszone jak zużyte, drugi—trzewiki, od licznych dziur, ażurowe i bez podeszew—tak że służyły mu raczej od parady, niż do ochrony stóp. Jeden nosił zieloną czapkę myśliwską, drugi — kapelusz bez wstążki o dnie niskiem i szerokich skrzydłach. Jeden miał przepasaną przez ramię, koszulę, tak zwiniętą, że cała mieściła się w jednym rękawie: drugi miał ręce wolne i nawet torby podróżnej nie posiadał; na piersiach jego natomiast widniał rodzaj wielkiego garbu, a jak się później okazało, był to rabat płócienny, usztywniony, w braku krochmalu, zapomocą tłuszczu, tak połamany i zużyty, że cały zdawał się być strzępami: zawinięte weń były i schowane karty o kształcie owalnym, gdyż od długiego użycia wytarły się były ich brzegi i aby przedłużyć im żywot, obcięto je wkoło i w tym stanie pozostawiono. Obaj chłopcy spaleni byli od słońca, obydwaj mieli brudne paznokcie i niezbyt czyste ręce. Jako broń, jeden z nich posiadał złamaną szpadę, drugi — nóż o żółtej rękojeści, jakimi zazwyczaj posługują się rzeźnicy.

Wyszli obaj zażyć wczasu na ganek czy przedsionek kryty, który u wnijścia do gospody się znajduje, usadowili się naprzeciw siebie, i ten, który starszym się być zdawał zagadnął młodszego:

— Z jakiejże to ziemi waszmość rodem, miłościwy panie, i kędy Bóg prowadzi?

— Ani mej ziemi nie znam, łaskawy panie, odparł zapytany,—ani wiem dokąd zmierzam.

— A jednak,—dorzucił starszy—zaiste, nie wyglądasz waszmość na kogoś, kto z nieba spada, a miejsce, gdzie siedzimy bynajmniej nie nadaje się na stałą siedzibę i prędzej czy później trzeba stąd ruszyć w dalszą drogę.

— Prawda to,—rzekł młodszy, — a jednak nie skłamałem, twierdząc że nie znam mojej ziemi: w istocie, wioska moja nie jest moją, gdyż nic w niej mam, prócz ojca, który mię nie chce uznać za swego syna i macochy, która też po macoszemu sobie ze mną poczyna; zaś drugą moją los kieruje i tam ją dopiero zakończę, gdzie znajdę czego trzeba do podtrzymania tego nędznego żywota.

— A znaszże acan jakie rzemiosło?—zapytał starszy.

— Tyle tylko, – odparł młodszy,—że umiem biedz jak zając i skakać jak jeleń; nożycami przytem tnę bardzo składnie.

— Dobrze to wszystko, użyteczne i korzystne, gdyż znajdzie się łacno zakrystjan, który odda waszmości cały swój zarobek ze Wszystkich Świętych, abyś mu na Wielki Czwartek ozdoby z papieru do przybrania ołtarza wykroił.

— Nie do takich drobiazgów służą mi nożyce, — rzekł młodszy. — Mój ojciec jest, z łaski Nieba, krawcem i nauczył mię kroić kamasze, które, jak waszmości wiadomo, są rodzajem odzieży na łydki, a które właściwiej czechczerami mianują. W rzemiośle tem doszedłem do takiej doskonałości, że na majstra mógłbym zdać egzamin, gdyby mię los nieszczęsny nie trzymał na uboczu.

— Tak to z najpoczciwszymi bywa, a nieraz i gorzej jeszcze się zdarza, — zawołał starszy;—zawsze mi mówiono, że wielkie zdolności są z tych, które najbardziej się marnują; ale waszmość czas masz jeszcze przed sobą, aby twój los naprawić. Jeśli się nie mylę i moim oczom mogę zaufać, mieć musisz inne jakieś ukryte zalety, z któremi nie chcesz jeno się zdradzić.

— A mam, ale jak waszmość słusznie to zauważyłeś, nie są one z tych, któreby publicznie wyznać można.

Ozwał się na to starszy.

— Otóż ja, śmiało o sobie mogę powiedzieć, że jestem jednym z najbardziej zaufania godnych chłopców, jakich ta ziemia nosi. Chcąc przeto waszmości nakłonić abyś mi swe serce otworzył, pierwiej sam się tobie zwierzę, gdyż przypuszczam, że nie bez jakiegoś okrytego celu, los nas tutaj połączył i zdaje mi się, że sądzono nam od tej chwili aż do ostatniego dnia naszego życia pozostać prawdziwymi przyjaciółmi.

— Ja, miłościwy panie, jestem rodem z Fuenfrida, a miejsce to słynnem uczynili liczni i dostojni podróżnicy, którzy nieustannie tamtędy przechodzą: moje imię, Pedro del Rincon*); ojciec mój jest osobistością znakomitą, jako urzędnik świetej Krucjaty, sprzedaje bowiem indulgencje, czy bulle papieskie, jak je tam ludzie na-

[1]) Rincon—znaczy kąt, zaułek.

zywają. Zdarzało mi się towarzyszyć mu gdy pełnił swe obowiązki, i rzemiosła tego tak dobrze się nauczyłem, że najbieglejszemu nie ustąpiłbym w sztuce zachęcania ludzi do kupna indulgencji. Lecz dnia jednego, bardziej niż indulgencje same spodobały mi się pieniądze osiągnięte ze sprzedaży, i wziąwszy za towarzyszkę dobrze wypchaną kaletę, wraz z nią udałem się do Madrytu, gpzie przy licznych sposobnościach, jakie tam człowiek zazwyczaj spotyka, w dni niewiele ze wszystkich wnętrzności ją wypatroszyłem i rzuciłem bardziej pomiętą niż welon ślubny po nocy weselnej. Tymczasem wpadł na mój ślad urzędnik, któremu powierzono nad pieniędzmi pieczę; schwytano mię i tyle mego. Los nie okazał się dla mnie łaskawy, choć owi panowie z sądu, zważywszy moją młodość, niezbyt surową wymierzyli mi karę: postawiono mię pod jakiemiś drzwiami, połaskotano trochę plecy i po tej operacji zostałem wygnany na cztery lata ze stolicy. Uzbroiłem się w cierpliwość, przygryzłem wargi, zniosłem chłostę i jej łaskotki i z takim pośpiechem ruszyłem na wygnanie, że nie zdążyłem nawet porachować siniaków. Z kosztowności moich zabrałem co się dało, a zwłaszcza to, z czego największą obiecywałem sobie korzyść: przedewszystkiem więc wziąłem te oto karty (tu pokazał talję kart którą, jak wyżej powiedziano, uwiązaną nosił na szyi, i dotychczas zdołałem za ich pomocą zarabiać na życie, grając w „dwadzieścia jeden“ po zajazdach i gospodach, jakie znajdują się między Madrytem a miejscem, gdzie teraz jesteśmy. A chociaż widzisz waszmość w jak opłakanym są stanie, posiadają jednak moc cudowną dla tych, którzy umieją należycie ocenić ich zalety, gdyż wtajemniczony, ilekolwiek kart zdejmie z talji, zawsze pewnym być może, że pod niemi as spoczywa: otóż, jeśli ta gra waszmości nie obca, wiesz jak korzystnie gracz na tem wychodzi, gdy wie z góry, że ma asa w pierwszej karcie, albowiem ten liczony być może dowolnie za jeden punkt lub za jedenaście. W ten sposób, ledwo stawki położono na stół, niema wątpliwości, że pieniądze zostaną się w domu. Oprócz tego kucharz pewnego posła nauczył mię sposobu podejścia partnera przy grze w „faraona“ i w „djabełka“, którą to grę również zwą lancknechtem. I oto, jak waszmość możesz z kroju czechczerów w samej stolicy składać egzamin, tak samo ja mógłbym być po wsiach mistrzem wędrownym szulerki. W ten sposób idę przed siebie, pewnym będąc, że z głodu nie umrę, bo kiedy na folwarku nawet najmizerniejszym się zatrzymam, zawsze znajdzie się ktoś, komu przyjdzie ochota chwil kilka przy grze spędzić, a o prawdzie moich słów niezwłocznie się przekonamy. Zarzućmy sieci, a zobaczymy czy nie da się wziąć na przynętę jakiś z tych poganiaczy mułów, którzy tędy przechodzą: zacznijmy, mówię, grać w „dwadzieścia jeden“ między sobą, udając że gramy poważnie, a jeśli ktoś z nich zechce przyłączyć się na trzeciego, wypadnie mu być pierwszym, który zostawi nam *pecunium*.

— To mi się podoba!—zawołał drugi chłopiec. — Za łaskę niezmierną poczytuję sobie zaszczyt, jaki mi waszmość uczyniłeś, opowiadając swoje przygody, którą to opowieścią sprawiasz, że nie mogę nadal ukrywać przed tobą kolei mego życia. W krótkich więc słowach powiem ci kim jestem. Urodziłem się we wsi Pedrozo, która leży między Salamonką i Medina del Campo. Ojciec mój, krawiec z zawodu, nauczył mię swej sztuki, a ja, dzięki przemyślności, którą mię natura obdarzyła, umiejąc krajać nożycami, zabrałem się niebawem do prucia cudzych kieszeni. Sprzykrzyłem sobie skąpe życie wiejskie i ciągłe łajania mojej macochy; to też, wziąwszy nogi za pas, poszedłem do Toledo uprawiać tam moje rzemiosło i rychło w sztuce krajania istnych dokazałem cudów: w istocie niema kalety ani kieszeni, którejby moje ręce nie zwiedziły i nie skrajały moje nożyce, choćby odbywały przy niej straż Argusowe oczy. Mimo to w przeciągu czterech miesięcy, które spędziłem w tem mieście, nigdy nie schwytano mię na gorącym uczynku, nigdy mię nie spłoszyli, ani się za mną uganiali ceklarze, nigdy żadna skarga na mnie nie poszła do sądu. Prawda to, że będzie temu tydzień, gdy jakiś szpieg przedajny dał znać o moich zdolnościach koregidorowi, którego tak moje zalety zaciekawiły, że zapragnął ze mną się zobaczyć; ale ja, że przez nadmierną skromność nie chcę mieć do czynienia z osobami o tak wysokiem stanowisku, postarałem się, aby owe skotkanie nie doszło do skutku. Opuściłem więc miasto w tak wielkim pośpiechu, że nie zdążyłem zaopatrzyć się ani w wierzchowca, ani w grosze, ani w pojazd do powrotu, ani nawet zwyczajnego wozu nie zabrałem z sobą.

— Nie mówmy o tem,—rzekł Rincon,—a ponieważ już oto znajomość zawarta, nie mamy potrzeby pysznić się i nadymać: wyznajmy raczej szczerze, że ani pieniędzy nie mamy ani nawet trzewików.

— Niech i tak będzie, — odparł Diego Cortado *) (gdyż tak się młodszy nazywał), — a ponieważ przyjaźń nasza, jak acan, mości Rinconie, słusznie rzekłeś, ma być stała i niezłomna, zacznijmyż ją od uświęconych zwyczajem i chwalebnych obrzędów.

Z temi słowy, powstawszy, Diego Cortado uściskał Rincona, a Rincon jego, mocno i serdecznie; poczem jęli grać w dwadzieścia jeden temi samemi kartami, o których wyżej była mowa, a które były bardziej czyste od kurzu i śmiecia, niżli od tłuszczu i podstępów; to też, po kilku kolejach Cortado tak samo składnie umiał wyrzucać asa, jak jego mistrz — Rincon.

W trakcie tego, jakiś przewodnik mułów wyszedł na ganek zaczerpnąć świeżego powietrza i widząc grających, zapragnął przyłączyć się na trzeciego. Chłopcy chętnie go przyjęli i w niespełna pół godziny wygrali odeń dwanaście reali i dwadzieścia dwa marawedis'y, co przyprawiło go o dwanaście zamroczeń i dwadzieścia dwa tysiące utrapień. Przewodnik mułów, widząc, że ma z malcami do czynienia, chciał odebrać im pieniądze, gdyż myślał, że nie

*) Cortado—od słowa cortar, krajać, ciąć.

będą mu stawiali oporu; lecz oni, dobywszy, jeden swej szpady złamanej, drugi noża o żółtym trzonku, tak dzielnie się bronili, że gdyby nie towarzysze, którzy pośpieszyli mu z pomocą, nie byłby wyszedł cało z owej utarczki.

W tej właśnie chwili przechodził drogą orszak konnych, kierując się na popas w stronę gospody del Alcalde, która znajduje się z pół mili dalej. Podróżni, widząc chłopców, jak się borykali z poganiaczem mułów, uspokoili ich i powiedzieli, że mogą im towarzyszyć, jeśli również zmierzają do Sewilli.

— Tam właśnie idziemy, — zawołał Rincon,—i jesteśmy na rozkazy ichmości, jeśli zdać im się mogą na co nasze usługi.

Nie czekając odpowiedzi, skoczyli naprzód do mułów jucznych i ruszyli z orszakiem, zostawiając mulnika pobitego i pieniącego się ze złości. Gospodyni spoglądała za nimi, podziwiając przemyślność tych wisusów, gdyż niepostrzeżona, podsłuchała była całej ich rozmowy. A gdy poganiacz mułów dowiedział się od niej jak plan cały z góry był uknuty, jak karty były przygotowane, jął włosy rwać z głowy i chciał biedz za nimi, aby odbić swoje mienie, wołając, że hańba to i rzecz niesłychana, aby dwaj młokosi okpili tak rosłego chłopa, jak on. Powstrzymali go jednak towarzysze, radząc mu, aby się miarkował i nie rozgłaszał przynajmniej po świecie swej niezdarności i prostoty. Tak wreszcie przemówili mu do rozsądku, choć nie zdołali go p ocieszyć, sprawili jednak, że pozostał z nimi.

Cortado i Rincon, tymczasem, tak gorliwie jęli pełnić swe obowiązki posługaczy, że przez większą część drogi pozostali w tyle; a choć nadarzyła im się niejedna sposobność pomacania tłomoków ich niby-panów, nie skorzystali z niej, aby nie stracić tak pięknej okazji podróży do Sewilli, które to miasto wielce poznać pragnęli. Mimo wszystko, przy wejściu do miasta (a stanęli tam w czasie modlitw porannych), gdy zatrzymano się dla opłacenia cła dla rzeczy u bramy Komornej *), Cortado, nie mogąc już dłużej się opanować, aby nie rozpróć tłomoka, a raczej torby, która przytroczona była do siodła pewnego francuza z orszaku, swym nożem o żółtym trzonku tak wielką i głęboką zadał jej ranę, że ukazały się jak na dłoni jej wnętrzności. Wyjął tedy z rozprótej torby dwie wytworne koszule, zegar słoneczny i notatnik, lecz zdobycz ta, gdy uważniejszym okiem na nią spojrzeli, bynajmniej chłopców nie zachwyciła. To też, myśląc, że francuz niedarmo tę torbę trzymał przy siodle i większe skarby musiał w niej chować niż łup, który zagarnęli, radziby byli raz jeszcze ją przetrząsnąć. Nie uczynili jednak tego, przypuszczali bowiem, że brak skradzionych przedmiotów musiał już być zauważony i że podróżni zdążyli ukryć w bezpiecznem miejscu, co pozostawało. Pożegnali się byli jeszcze przed dokonaniem tego zamachu z towarzystwem, którego kosztem odbyli drogę, a nazajutrz spieniężyli koszule na targu pokątnym, który odbywa się koło bramy del Arenal i ze sprzedaży osiągnęli dwadzieścia reali.

Po załatwieniu tych spraw udali się na zwiedzenie miasta: osłupieli z podziwu przed ogromem i wspaniałością katedry i w zdumienie wprawił ich tłum, który zaległ wybrzeża rzeki, gdyż była to pora, kiedy się flota formuje i sześć galer znajdowało się podówczas w przystani. Na ich widok westchnęli głęboko, z trwogą myśląc o chwili, kiedy im przyjdzie za swe winy obrać sobie na owych pokładach dożywotne mieszkanie. Zauważyli licznych chłopców z koszykami, którzy tamtędy przechodzili: zapytali jednego z nich, na czem polegało ich zajęcie, czy wymagało wielkiego nakładu pracy i jaki dawało zarobek. Chłopiec, do którego zwrócili się z tem pytaniem, asturjańczyk jakiś, odparł, że zajęcie to bynajmniej nie męczące i że władze od trudniących się tem rzemiosłem żadnego nie pobierają czynszu. Dodał, że dzienny jego zarobek nieraz dochodził do pięciu i dziesięciu reali, a za te pieniądze mógł jeść i pić i jak książę jaki nadrabiać miną. Nie potrzebował przytem żadnego zakładu dawać swemu pracodawcy i pewnym mógł być zawsze, że znajdzie posiłek w najmizerniejszej oberży Sewilli, gdzie dobrych szynków jest poddostatkiem.

Spodobała się naszym dwum przyjaciołom przemowa Asturjańczyka, a rzemiosło wydało im się ponętnem i jakgdyby dla nich umyślnie stworzonem, myśleli bowiem, że mając możność wchodzenia do różnych domów z posyłkami, które im powierzą, tem łacniej zdołają mieć swoją rzecz na pieczy. Postanowili więc niezwłocznie kupić potrzebne narzędzia, gdyż bez żadnych innych przygotowań mogli zabrać się do dzieła. Asturjańczyk, zagadnięty o przedmioty, które wypadało im nabyć, odparł, że każdy z nich zaopatrzyć się musi w worek i trzy koszyki ręczne, z których dwa duże i jeden mały. W koszykach tych nosić mieli mięso, ryby i owoce, w worku zaś — chleb. Udzieliwszy im powyższych wskazówek, zaprowadził ich do kramów, gdzie sprzedawano owe przedmioty, a oni za pieniądze pozostałe z kradzieży kupili wszystko, czego było potrzeba. Tak dobrze pasowały do nich koszyki i z workami tak im było do twarzy, że po dwuch godzinach mogliby uzyskać tytuł adeptów nowego rzemiosła. Dozorca miejski wskazał im stanowiska, na których winni byli się znajdować: codzień rano koło rzeźni, lub na placu Ś-go Salwatora, w dni targu rybnego — na rynku; popołudniu — na brzegu rzeki, a we czwartki — na jarmarku.

(d. c. n.)

*) Puerta de la Aduana.

3)

H. DE BALZAC.

ŻEGNAJ.

(Z francuskiego).

— Niestety, mój biedny Filipie, nie mam nic... nic!.. Czy wasz generał znajduje się w tym baraku?

— Nie próbuj wejść tam. W tej szopie umieściliśmy rannych. Jedź jeszcze dalej: na prawo znajdziesz szopę, krytą gontowym dachem. Tam właśnie mieszka generał. Dowidzenia, zuchu... Czy też będziemy jeszcze kiedy tańczyli walca na posadzkach paryskich.

Nie skończył, gdyż wiatr powiał w tej chwili tak mroźny, że adjutant począł biedz, aby nie zamarznąć, a wargi Filipa zlodowaciały. Wkrótce zapanowało milczenie. Przerywały je tylko jęki dochodzące z domku i głuchy chrzęst szczęk końskich, żujących zamarzłe drzewo, obgryzane ze ścian domu. Major włożył szablę do pochwy, schwycił za uzdę cenne zwierzę, które udało mu się zachować i oderwał je, mimo oporu od wstrętnego jadła, którem zwierzę nauczyło się nie gardzić.

— W drogę, Sarenko, w drogę! Ty jedna, kochanie, możesz ocalić Stefanję. Potem będziemy mogli odpocząć... na wieki.

Filip, zawinięty w grube futro, któremu zawdzięczał niewątpliwie życie i energję, począł dla rozgrzania się, biedz przed siebie, tupiąc nogami. Zaledwie przebiegł pięćset kroków — ujrzał wielki ogień na miejscu, na którem rano pozostawił swą karetę pod strażą starego żołnierza. Straszliwy niepokój targnął nim. Jak wogóle ludzie, którzy podczas pamiętnego odwrotu, owładnięci byli jakiemś uczuciem, znajdował on dla ocalenia swych przyjaciół więcej sił, niżby ich znalazł, gdyby chodziło tylko o niego. Wkrótce znalazł się o parę kroków od kotliny, w głębi której umieścił, w bezpiecznem ukryciu przed kulami rosyjskiemi, młodą kobietę, towarzyszkę dzieciństwa, swój najdroższy skarb!

O kilka kroków od karety zebrało się około karety zebrało się okolo trzydziestu maruderów. Siedzieli przed ogniskiem, które podsycali, wrzucając doń deski, wierzchy skrzyń, koła, drzwiczki od karet. Byli to niewątpliwie ostatni przybysze z wielkiej gromady, która, począwszy od olbrzymiej brózdy u podnórza Studzianki i aż do fatalnej rzeki, tworzyła ocean głów, ogni, baraków, żywe morze, drgające nieuchwytnym ruchem, morze, z którego głębi wyrywał się głuchy gwar, przerywany chwilami straszliwymi wybuchami. Pchani przez głód i rozpacz, nieszczęśliwcy ci zapewne obszukali gwałtem karetę. Stary generał i młoda kobieta, których znaleźli na stosie łachmanów, pod górą płaszczów i futer, leżeli w tej chwili przed ogniem. Drzwiczki karety były połamane. Skoro tylko siedzący dokoła ognia usłyszeli tupot kopyt końskich, rozległ się wśród nich krzyk wściekłości i głodu.

— Koń! koń!..

Wszystkie głosy zlewały się w jeden.

— Usuń się pan! uwaga! — krzyknęli dwaj, czy trzej żołnierze, celując do konia.

Filip zasłonił własnem ciałem klacz, mówiąc:

— Łotry! powrzucam was w ogień. Tam, na górze, leżą trupy końskie. Bierzcie je sobie!

— A to dowcipniś z tego oficera!.. Raz, dwa, czy odsuniesz się? — odparł olbrzymi grenadjer. — Nie! No to, jak sam chcesz...

Jednocześnie z wystrzałem rozległ się krzyk kobiecy. Na szczęście Filip nie został trafiony, ale Sarenka upadła i drgała w agonji; trzej żołnierze rzucili się ku niej i dobili ją bagnetami.

— Barbarzyńcy! pozwólcie mi chociaż zabrać kołdrę i pistolety, — rzekł Filip z rozpaczą.

— Zgoda na pistolety,—odparł grenadjer.— Ale co kołdry, to mamy tu piechura, który od dwuch dni nic nie żarł i któryskostniał z zimna, bo ma ubranie podszyte wiatrem. To nasz generał...

Filip zamilkł, widząc człowieka w podartych butach i świecących dziesiątkiem dziur spodniach, w płóciennej szlafmycy na głowie. Czemprędzej wziął pistolety. Pięciu ludzi przyniosło klacz do ogniska, pokrajało ją z wprawą, której mógłby pozazdrościć niejeden rzeźnik paryski. Kawałki mięsa zręcznie powycinano i rzucono na żarzące węgle.

Major zbliżył się do kobiety, która na odgłos strzału wydała krzyk przestrachu. Siedziała teraz nieruchomo na poduszce, ocalonej z rozbitej karety i grzała się. Spojrzała nań w milczeniu, bez uśmiechu. Dopiero teraz Filip spostrzegł obok niej żołnierza, któremu powierzył straż nad karetą. Biedak był ranny. Wobec olbrzymiej liczby napastników, musiał uledz w walce z maruderami; lecz, jak pies, który do ostatniej chwili bronił obiadu swego pana, gdy obrona okazała się niemożliwa, wziął udział w podziale łupów i zrobił sobie z białej kapy rodzaj płaszcza. W tej chwili pochłonięty był przyrządzaniem kawałka koniny z zabitej klaczy i major dojrzał na twarzy jego wyraz niewypowiedzianej radości, z czekającej go uczty. Hrabia de Vandiéres, który od paru dni jakgdyby popadł w zdziecinnienie, siedział na poduszce obok żony i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w płomień, którego żar przywracał mu przytomność i wyrywał z dotychczasowego osłupienia. Poprzednio nie reagował ani na niebezpieczeństwo, ani na przybycie Filipa, ani na walkę, która poprzedziła zrabowanie ich karety. Z początku Sucy uścisnął dłoń młodej hrabiny, jakgdyby chciał wyrazić jej swą sympatję i współczucie, że widzi ją w takiej nędzy; ale nie wyrzekł ani słowa i siadł przy niej na kupie śniegu, który szybko topniał, tworząc kałużę. Po chwili oddał się całkowicie radości rozgrzewania zamarzłych członków, zapominając o niebezpieczeństwie, o wszystkiem. Na twarzy jego mimowoli rozlał się wyraz zwierzęcej niemal błogości i niecierpliwie czekał na kawałek mięsa, który przyrządzał nad ogniem jego ordynans.

Zapach tego zwęglonego mięsa podrażniał głód, a głód górował nad sercem, nad odwagą, miłością. Bez gniewu spojrzał na ograbioną, rozbitą karocę.

Wszyscy ludzie skupieni dokoła ogniska podzielili się derami, poduszkami, futrami, sukniami, kostjumami męskimi i kobiecemi, należącymi do hrabiego, hrabiny lub majora. Filip odwrócił się, aby sprawdzić, czy uda się jeszcze zrobić coś z pudła karocy. Przy blasku ogniska spostrzegł złoto, djamenty, srebro rozrzucone dokoła, a nikomu nie przyszło nawet na myśl, by pozbierać te bogactwa. Wszyscy ci ludzie, których los skupił dokoła tego ogniska, milczeli jakiemś ponurem milczeniem i czynili tylko to, co zapewniało im większy udział w tym dobrobycie jednej chwili. Nędza ich miała w sobie coś śmiesznego. Twarze, które przekrzywił mróz, były pokryte grubą warstwą błota, na którem łzy wyryły bróździę, idącą od oczu do podbródka, a której głębokość świadczyła o grubości tej błotnistej maski. Nieład rozczochranych długich bród czynił żołnierzy tych wprost wstrętnymi. Jedni byli zawinięci w kobiece szale, inni w czapraki końskie, zabłocone dery, w łachmany, przesiąknięte szronem, który topniał; niektórzy mieli na jednej nodze but, a na drugiej kamasz. Wogóle nie było ani jednego, którego ubiór nie miałby w sobie czegoś śmiesznego. Lecz wobec tych śmiesznych postaci, wszyscy zachowywali tragiczną powagę. Tylko trzask drzewa, syk oknia, odległy pomruk, dochodzący z obozu oraz trzask szabel, któremi zgłodniali siekali biedną zabitą Sarenkę, przerywał to milczenie. Kilku biedaków, najbardziej zmęczonych, spało, a jeśli któryć z nich we śnie staczał się w ogień, nikt go nie podnosił. Ci surowi logicy sądzili, że o ile nie umarł, sparzenie powinno go było ostrzedz, iż należy położyć się w innem, wygodniejszem miejscu. Jeśli nieszczęśnik budził się w ogniu i ginął, nikt go nie żałował. Żołnierze spoglądali wzajem po sobie, jakgdyby szukali usprawiedliwienia dla własnej obojętności w obojętności innych. Młoda hrabina dwukrotnie spojrzała na ten widok, lecz nie rzekła ani słowa. Kiedy kawałki mięsa, rzucone na węgle, były już gotowe, wszyscy zaspokoili głód z tą żarłocznością, która przejmuje nas takim wstrętem, gdy obserwujemy ją u zwierząt.

— Pierwszy raz widzę trzydziestu piechurów na jednym koniu! — krzyknął grenadjer, który zastrzelił klacz.

Był to jedyny żart, świadczący, że narodowy dowcip francuski nie zamarł.

Wkrótce większość tych biednych żołnierzy, poowijawszy się w ubrania i dery, wyszukawszy deski, które pozwoliłyby ledz nie na śniegu, usnęła, nie myśląc o jutrze. Kiedy major rozgrzał się i nasycił głód, senność nie do zwalczenia poczęła kleić jego powieki. Przez krótkie mgnienie, w ciągu którego walczył ze snem, przyglądał się kobiecie. Hrabina odwróciła się twarzą do ognia i usnęła, tak że widać było tylko jej zamknięte oczy i część czoła. Była zawiniętą w grube futro i ordynarny płaszcz dragoński; głowę położyła na splamionej krwią poduszce; karakułowa czapka owinięta zawiązaną pod brodą chustką, chroniła w miarę możliwości twarz od mrozu. W tej chwili, zwinięta w kłębek, nie robiła zupełnie wrażenia młodej kobiety. Raczej możnaby wziąć ją za starą markietankę, niż za piękną kobietę, przedmiot ogólnych westchnień młodzieży, królowę balów paryskich. Niestety! nawet oko jej najbardziej oddanego przyjaciela nie znajdowało nic kobiecego w tej kupie chust i łachmanów. Miłość zgasła wśród mrozu w sercu tej kobiety. Przez gęstą zasłonę, którą niezwyciężony sen przyćmił oczy majora, widział on w mężu i żonie li tylko dwa punkty. Płomienie ogniska, te rozciągnięte postacie, ten okrutny mróz, srożący się o trzy kroki od żaru ogniska, wszystko to wydawało mu się snem. Od czasu do czasu napastowała Filipa natrętna myśl:

— Zginiemy wszyscy, jeśli zasnę! nie chcę spać, — mówił go siebie.

I spał. Dopiero po godzinie zbudził go straszliwy krzyk i wybuch. Poczucie obowiązku, niebezpieczeństwo grożące ukochanej — wstrząsnęły nagle jego sercem. Wydał okrzyk, przypominający raczej ryk zwierza. Tylko on i jego żołnierz zbudzili się. I ujrzeli morze ognia, który pędził przed sobą wśród nocnego cienia tłumy ludzi, pożerając chaty i biwaki; usłyszeli krzyki rozpaczy, wycie; spostrzegli tysiące przerażonych twarzy. Wśród tego piekła oddział żołnierzy z trudem przebijał sobie drogę do mostu, między dwoma wałami z trupów.

— To odwrót naszej arjergardy, — krzyknął major. — Wszystko stracone!

— Oszczędziłem twoją karocę, Filipie, — rzekł znajomy głos.

Odwróciwszy się, Sucy poznał przy blasku ognia młodego adjutanta.

— Niestety! wszystko stracone! — odparł major. Zjedli mi konia... Zresztą, w jaki sposób obudzę tego ogłupiałego generała i jego żonę?

— Weź, Filipie, głownię i podsuń im pod nos!

— Hrabinie?..

— Dowidzenia! — krzyknął adjutant. — Mam zaledwie trochę czasu na przebycie tej przeklętej rzeki; a muszę ją przebyć, bo we Francji oczekuje mnie matka!.. Co za noc! Ci biedacy nie chcą się podnieść; płoną żywcem a nie ruszają się... Już czwarta, Filipie! Za dwie godziny Rosjanie ruszą się. Ręczę ci, że jeszcze raz Berezyna pokryje się trupami. Filipie, myśl o sobie! Nie masz koni i nie możesz uratować hrabiny, więc chodź ze mną, — rzekł, biorąc go za ramię.

— Ależ, przyjacielu! Czyż mogę porzucić Stefanję?

Major ujął hrabinę, postawił ją na nogi i wstrząsnął nią z szorstkością człowieka zrozpaczonego, zmuszając ją, by się zbudziła. A ona spojrzała nań wzrokiem nieruchowym i martwym.

— W drogę, Stefanjo, bo zginiemy tutaj!

Za całą odpowiedź, hrabina usiłowała położyć się na ziemi, aby spać. Adjutant schwy-

cił płonącą głownię i począł wstrząsać nią przed nosem Stefanji.

— Muszę ją ocalić, nawet wbrew jej woli! — krzyknął Filip, podnosząc hrabinę i niosąc ją do karety.

Wrócił i jął błagać o pomoc swego przyjaciela. We dwójkę wzięli na ręce starego generała, nie wiedząc, czy jest żywy, czy umarły i położyli go obok żony. Major pchnął po kolei nogą wszystkich leżących na ziemi ludzi, odebrał im wszystko co zagrabili, przykrył tą górą łachmanów hrabiego i jego żonę i rzucił w kąt karety kilka upieczonych kawałków swej klaczy.

— Co chcesz zrobić? — spytał adjutant.

— Ciągnąć samemu karetę! — odparł major.

— Zwarjowałeś?!..

— Tak, to prawda! — krzyknął Filip, krzyżując ręce na piersiach.

Nagle ożywił się pod wpływem jakiegoś rozpaczliwego pomysłu.

— Słuchaj, — rzekł, chwytając za zdrowe ramię swego żołnierza, — pilnuj jej przez godzinę! Pamiętaj, żebyś nie dał nikomu zbliżyć się do karety.

Major pozbierał jedną ręką djamenty hrabiny, drugą ręką wydobył szablę i począł zaciekle płazować tych z pomiędzy śpiących, którzy zrobili nań wrażenie najodważniejszych. W ten sposób udało mu się obudzić olbrzymiego grenadjera i dwuch innych ludzi, których stopnia nie mógł rozróżnić.

— Przepadliśmy! — rzekł do nich.

— Wiem o tem, — odparł grenadjer, — ale mi wszystko jedno.

— No, jak umierać to umierać, ale czy nie lepiej oddać życie za piękną kobietę i spróbować, czy nie uda się jeszcze dostać do Francji.

— Wolę spać, — rzekł jeden z ludzi, tarzając się po śniegu, — a jeżeli mi nie dasz spokoju, to ci wpakuję w brzuch mój rożen!

— O co chodzi, majorze? — spytał grenadjer. — Daj mu spokój, on jest pijany! To paryżanin, wygodnicki.

— To wszystko będzie twoje, mój zuchu! — krzyknął major, pokazując grenadjerowi całą garść djamentów, — jeżeli pójdziesz ze mną i będziesz bił się, jak wściekły. Rosjanie są o dziesięć minut stąd; mają konie; podkradniemy się do pierwszej ich baterji i zabierzemy im dwie szkapy.

— A wartownicy, majorze?

— Jeden z nas trzech... — rzekł do grenadjera. Przerwał i spojrzał na adjutanta.

— Ty z nami, Hipolicie, prawda.

Hipolit skinął głową.

— Jeden z nas, — rzekł major, — weźmie na siebie wartownika. Zresztą, pewnie i ci przeklęci rosjanie także śpią.

— Dobra, majorze, zuch z ciebie! Ale za to zabierzesz mnie do twojej landary? — rzekł grenadjer.

— Tak, o ile nie zostawisz tam skóry. A gdybym ja zginął, to ty, Hipolicie i ty, grenadjerze, — rzekł major, zwracając się do towarzyszów, — przyrzeknijcie mi, że poświęcicie się dla ocalenia hrabiny?

— Zgoda! — krzyknął grenadjer.

Skierowali się ku linjom rosyjskim, ku baterjom, które tak okrutnie przetrzebiły tłum niedobitków, zebrany na brzegu rzeki. W parę chwil potem, rozległ się tętent dwuch galopujących po śniegu koni, a rozbudzona baterja posłała kilka salw, które przeleciały nad głowami śpiących. Bieg koni był tak szybki, iż dźwięk ich kopyt brzmiał, jak uderzenia młota w ręku kowala, kującego podkowę. Szlachetny adjutant zginął... Atletyczny grenadjer był zdrów i cały. Filip, broniąc przyjaciela, otrzymał pchnięcie bagnetem w ramię. Pomimo to, uczepił się grzywy konia i ścisnął go tak nogami, że mógł nim kierować.

— Chwała Bogu! — krzyknął major, ujrzawszy swego żonierza, nieruchomo stojącego obok karety.

— Jeżeli jesteś sprawiedliwym, mój oficerze, wystarasz się dla mnie o krzyż. Urządziliśmy rosjanom ładną sztuczkę.

— Jeszcze nic nie zrobiliśmy! Zaprzęgajmy konie. Bierz sznury.

— Za mało mamy sznurów.

— To zdejm w takim razie szale i bieliznę z tych śpiochów...

— Patrzcie państwo, ten kawalarz umarł! — krzyknął grenadjer, zdzierając ubranie z pierwszego z brzegu żołnierza. — Masz tobie! wszyscy leżą nieżywi!

— Wszyscy?

— Tak, wszyscy! Widocznie konina jest niestrawna, kiedy się ją tak zajada na śniegu.

Na te słowa Filip zadrżał. Mróz wzmógł się.

— Mój Boże stracić kobietę, którą ocaliłem ze dwadzieścia razy!

d. c. n.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „	„ „10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.
Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.